№ 16. Warszawa, dnia 17 (5) Kwietnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Tom V dzieł Niemcewicza otrzymaliśmy; nabywcy miejscowi zechcą go odebrać w naszej Administracyi, prowincyonalni otrzymają pocztą.

POLITYKA.

ŚWIEŻY SOJUSZ.

Sprawy kościelne w Niemczech słusznie zajmują uwagę ogółu polskiego, którego część żyje pod bezpośrednim wpływem ich biegu, zawikłań i rozwiązań. Wiadomo, że Poznańskie, przygniecione również „kulturkampfem" związało się ściśle z mocną i umiejętnie kierowaną partyą katolików niemieckich (centrum), której rzeczywiście zawdzięcza wiele życzliwych usług. Otóż skutkiem obecnego porozumienia się kanclerza z papieżem owa partya, wywołana i podtrzymywana walką religijną, traci grunt pod nogami, a z nią naturalnie upaść muszą wszystkie jej związki polityczne.

W tej chwili obchodzi nas przedewszystkiem pytanie: czy zgoda dwu powaśnionych a potężnych przeciwników doszła już do tego punktu, od którego Bismark iść będzie z ręką w ręce Leona XIII i wielkie starcie dwu pierwiastków, dwu zasad roztopi się w przymierzu politycznem? Zaprzeczyć trudno, że oba zbliżają się ku sobie bardzo szybko. Kanclerz zrobił wiele ustępstw — papież także; pierwszy zrzekł się ustaw majowych, drugi poświęcił mu za to arcybiskupa polskiego a nawet zobowiązał się do przedstawienia rządowi pruskiemu kandydatów na probostwa. Przepaść, dzieląca zapaśników tak się zapełniła obustronnemi ofiarami, że niedługo będą oni mogli na jej wyrównanym pasie wypić zdrowie zupełnego pojednania.

Bądź co bądź, katolicyzm i nowożytne prusactwo są i pozostaną żywiołami odmiennymi a gazety niemieckie, zapatrzone w tę różnicę i przyzwyczajone do jej jaskrawego widoku w długoletniej walce, nie porzucają wiary, że Bismark po za tym sojuszem ukrył jakieś „daleko sięgające plany," bez których on naturalnie — według swych bałwochwalców — nawet piwa nie pija i fajki nie pali. „Jesteśmy — ostrzega jedna z tych gazet — w przededniu wielkich wypadków." Czy tak?

Od lat 14, to jest od wojny francusko-pruskiej słyszymy ciągle tę wróżbę, wyśpiewywaną różnemi melodyami i ciągle owe „daleko sięgające" plany nie wychodzą ze swego ukrycia. Przez cały ten okres Europa żyła trwogą lub nadzieją doczekania olbrzymiego przewrotu, dokonanego ręką Bismarka, i zawodziła się ustawicznie. Widziała tylko jego przeróbki wewnętrzne, starcia z sejmem, drobne szachy dyplomatyczne, a przedewszystkiem przymierza. Zwłaszcza te ostatnie były ulubionem zajęciem „żelaznego księcia." Ile on ich związał i ile rozerwał — rzeczywiście pamięcią obliczyć trudno. Urządzał tajemnicze i jawne spotkania monarchów lub dostojników państwowych, wymyślał rozmaite grupowania się mocarstw, zwoływał konferencye — ale ta niezmordowanie pruta i dziergana siatka była tylko spisywaniem kontraktów, wystawianiem lub dyskontowaniem długo i krótko terminowych weksli. Pozostała po niej tylko garść potarganych nici, masa węzełków i supłów, które czas nie prędko rozplącze. W tych wszystkich przymierzach wyraziło się kilka znamiennych rysów Bismarka: chęć ubezpieczenia łupów zdobytych, niemoc osiągnięcia nowych i zamiar rozpostarcia nad Europą reakcyjnej chmury. Ugoda z Watykanem ujawnia właśnie tę ostatnią tendencyę. Papież był w Europie jedynym władcą konserwatywnym, Stolica apostolska jedynym tronem niewzruszonej zachowawczości, z którym kanclerz niemiecki nie zawarł ślubu. Jeżeli zaś przypuścimy, że dziś po nad wszystkiemi innemi góruje w nim pragnienie utrwalenia nietylko posiadłości, ale pewnych idei, które on uważa wogóle za słuszne a dla swego państwa za niezbędne, pojmiemy tę jego skłonność do spajania z sobą ogniw łańcucha, hamującego rozwój pojęć i stosunków. Bismark czuje, że organizacya Niemiec, przykrojona do jego osoby, po jego śmierci w takiej przeróbce się nie utrzyma; rozumie on, że model państwa pruskiego będzie się kruszył pod działaniem sił wewnętrznych i wpływów zewnętrznych, że wogóle ta budowa dziwnej architektury, oparta na jednej karyatydzie a wystawiona na gwałtowne wichry, może się zwalić. Więc stara się ją podeprzeć, otoczyć kołem murów ochronnych. Radby cofnąć całą Europę, nawrócić ją do swych ideałów, a gdy to jest niemożliwem, opancerza przynajmniej własne państwo i rozpościera jego wpływy w promieniu sojuszów. Kilkanaście milionów ludności katolickiej, słuchającej niewolniczo rozkazów swego władcy religijnego, w starciach solidarnej, wytrwałej, niezłomnej, zręcznie kierowanej — to żywioł zbyt silny a w walce niebezpieczny, ażeby Bismark mógł go lekceważyć i na przyszłość pozostawić wrogim, na tę przyszłość, której czynników rozkładowych nie zbraknie. Dopóki twórca jedności niemieckiej i dyktatury konstytucyjnej żyje — umie odpierać ataki katolików; ale co będzie, gdy jego zabraknie? Socyalizm, katolicyzm, liberalizm, separatyzm — wszystkiego tego będzie za dużo na jedną głowę kanclerza — przyszłego. Czyż nie lepiej najsilniejszą z tych potęg zjednać,

zwłaszcza że ona celom reakcyi najskuteczniej usłuży?

Że Bismark rozpoczął zgodę od głowy, nie od nóg, od pasterza a nie jego owieczek, to licuje zupełnie z jego wyniosłością i sposobami taktyki. W sejmie wszakże zapowiedział, że nie pominie nóg, skoro się załatwi z głową, za którą one naturalnie pójdą.

Tak tedy katolicyzm wezwany został do pracy nad dziełem reakcyi, w którą kanclerz niemiecki chce oprawić najbliższą przyszłość Europy. Przymierze to, jeśli nie pęknie, może być dla obu stron bardzo korzystnem, gdyż obie podmurują wzajemnie swoją podstawę.

A Europa, a świat cywilizowany, a postęp ludzkości? Prędzej czy później rozerwie sztuczne groble i pójdzie swoją naturalną drogą, a ze wzmożonym rozpędem. Że ks. Bismark sypie tamy, że niemi powstrzyma rozwój idei i stosunków — to jest pewnem; ale nie mniej pewnem jest to, że całą jego pracę uniesie i pochłonie pierwszy obfitszy wylew postępu. Wtedy znowu papież cofnie się od poderwanych brzegów i badać zacznie, na którym z płynących po wezbranej rzece statków można coś dla kościoła nabyć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stosownie do poprzednio uczynionej zapowiedzi, w dniu 8 kwietnia przedstawił Gladstone parlamentowi bil o samorządzie irlandzkim. Jest to dopiero część zamierzonej reformy, gdyż w połowie kwietnia wejdzie na porządek dzienny projekt urządzenia stosunków rolnych. Przyszły parlament irlandzki składać się ma z dwóch Izb: wyższej i niższej, obie jednak będą wybieralne. Każda liczyć będzie 103 członków. Z pod kompetencyi parlamentu miejscowego wyłączono sprawy wspólne, do których odniesiono: przywileje korony, sprawy zagraniczne, zarząd armii i floty oraz kolonij. Na wspólne wydatki Irlandya płacić winna rocznie 8 milionów f. szt. Policya pozostaje nadal pod kierownictwem rządu angielskiego. Projekt nie wspomina wcale, jaką ma być organizacya władzy wykonawczej, czy utworzone zostanie oddzielne ministeryum irlandzkie; oświadcza tylko, że wicekrólem może być katolik. Posłowie irlandzcy zasiadają w parlamencie brytańskim wtedy tylko, kiedy wniesiony będzie projekt zmiany konstytucyi.

Przeciw reformom Gladstone'a powstała silna opozycya. Do konserwatystów, sprzeciwiających się im głównie ze względów stronniczych, przyłączyła się część umiarkowanych liberałów, t. z. grupa Hartingtona, licząca około 50 głosów i wielu radykałów. Pomimo świetnych mów Gladstone'a i Morleya, opozycya rośnie i zatwierdzenie bilu jest bardzo wątpliwem. Jeżeli będzie odrzucony, gabinet poda się do dymisyi, ale zachowawcy z pewnością zmuszeni zostaną podjąć na nowo pogrzebany projekt, chociażby z pewnemi zmianami, gdyż w przeciwnym razie spodziewać się można zbrojnego powstania w Irlandyi.

Kiedy rząd angielski stara się naprawić dawne błędy i powetować wiekowe krzywdy, parlament pruski gorliwie pracuje tymczasem nad stworzeniem u siebie nowej Irlandyi. Ustawy wymierzone przeciw polakom przechodzą szybko w drugiem i trzeciem głosowaniu, już prawie bez protestu zmęczonej daremnem wołaniem opozycyi, rząd zaś ciągle zaleca pospiech. Jednocześnie odbywają się targi z Watykanem i projekt ugody pisze się na polskiej skórze. W ostatnich dniach papież znowu zrobił ustępstwo w sprawie mianowania proboszczów, w zamian za co rząd niemiecki przyrzekł rewizyę ustaw majowych.

Książe bułgarski skłania się wreszcie do przyjęcia postanowień konferencyi konstantynopolskiej. Od początku tego zajścia przewidzieć było można, że rząd bułgarski nie zdoła oprzeć się zbiorowemu naciskowi mocarstw, ale opór zacięty księcia miał racyę, bułgarzy bowiem przekonali się naocznie, kto najbardziej sprzeciwia się ich zjednoczeniu. Książę osobiście poddaje się wyrokowi konferencyi, ale oświadcza, że tylko przedstawiciele narodu mogą stanowczo decydować w tej sprawie. W tym celu zniesiono stan wojenny w księstwie i Rumelii i rozpisano wybory do zgromadzenia na 23 kwietnia. Tymczasem rzeczywiste zjednoczenie obu krajów odbyło się już prawie zupełnie i wobec tego faktu postanowienie konferencyi wydaje się nielogicznem, bo przecież po pięciu latach niepodobna będzie rozdzielić Rumelii i Bułgaryi.

W Serbii utworzony został gabinet Risticza, ale przetrwał tylko trzy dni i podał się do dymisyi. Z początku sądzono, że żądała tego Austrya, obecnie jednak okazuje się, iż zwalił ministeryum Risticza Laenderbank wiedeński, któremu król Milan formalnie zaprzedał Serbię. Bankierzy wiedeńscy, niezadowoleni z projektów finansowych nowego ministra, więcej jeszcze niż z przewidywanej jego polityki, wymówili pożyczone sumy i zmusili w ten sposób rząd serbski do ustępstw. Miły Austryi Garaszanin wrócił znowu do steru rządów i w zamian za okazane mu poparcie zezwoli zapewne na jakieś nowe spekulacye z finansami serbskimi.

Jeżeli polityka księcia bułgarskiego może tylko gniewać wielkie mocarstwa, to Grecyi dotkliwie daje się ona we znaki. Ile razy książę Aleksander przybierze energiczną podstawę i zamąci międzynarodową zgodę, tyle razy zapał wojenny helenów wzrasta, mnożą się uzbrojenia, wygłaszają ogniste mowy. Potem Bułgarya ustępuje, widnokrąg polityczny wyjaśnia się i Grecya z kwaśną miną chowa na pół dobyty miecz do pochwy. Komedya ta powtórzyła się znowu podczas ostatniego zatargu.

Rozruchy robotnicze w Belgii zostały zupełnie stłumione, natomiast we Francyi zmowa górników trwa ciągle i przybiera ostry charakter. Z powodu aresztowania dwóch agitatorów - dziennikarzy skrajna lewica protestuje i zachowuje się wyzywająco względem rządu, który waha się i nie wie co przedsięwziąć.

POWIEŚĆ.

DWUGŁOS MIŁOŚCI.

Fantazya.

Rojowisko istot pożądliwością wielkich a mocą małych coraz gwałtowniej zaczęło się zwierać, kłębić i zagryzać, jak gdyby w obawie, ażeby kulista bryła, która ich niosła po przestrzeni, nie wstrząsnęła się o zawadę i nie zrzuciła słabo przyczepionych do niej siłą ciążenia w bezdenną otchłań świata. Czasem w przerwach szumu złowrogich szeptów, z wycia dzikich głosów i krzyku zuchwałej głupoty wydobywał się nieśmiało lękliwy ton szczerej miłości skromnego rozumu lub bolesnego jęku, ale wkrótce tonął, jak woń polnych kwiatów w swędach pobojowiska, jak świergot zięb we wrzasku kruków. Chór ziemi był hymnem zwycięzkiego gwałtu; jej chwałę jadowite języki wybijały w krwiożerczych paszczach, jak żelazne serca chwałę nieba w dzwonach.

* * *

Mroki opadały na nią warstwami coraz gęstszemi. Poprzedziły one i zwiastowały Noc, która wkrótce zasiadła na tronie z kryształów lodu, wysłanym skórkami nietoperzów i obitym na krawędziach źrenicami bazyliszków. Unosiły go na swych grzbietach dwie leżące hyeny, za podnoże służył zwinięty szakal, a u wierzchu tylnego oparcia kołysał się leniwie zamyślony sęp. Władczyni trzymała w jednej ręce miecz, a w drugiej krzyż opleciony ogonem żywego węża, który wsunąwszy się połową przez ranę boku rozpiętego Chrystusa, przez bolesnie otwarte jego usta wysuwał swoje żądło. Groźna i ponura jej twarz ujęta była w ramy długich, prostych włosów; nad czołem błyszczał wąski łuk księżyca, a po szacie z kruczych piór rozsypały się drobne gwiazdki. Przed tronem na ołtarzu ze spróchniałych serc w wydrążonych czaszkach ludzkich paliły się kadzidła, których gęste i ciężkie dymy rozwieszały swe kłęby na wyparach szeronkiego bagniska, migającego niezliczonymi płomykami błędnych ogników.

Zaledwie Noc usiadła, upiory jej orszaku, zgasiwszy ostatni promień słońca, zdjęły z ramion swej pani długi czarny płaszcz i rzuciły wichrom, które w tej chwili nadbiegły. Pochwyciły go one, z szumem szerokich skrzydeł uniosły i rozpostarły po niebie. Na tle tego kiru mocniejszym blaskiem odbiły się gwiazdy jej szaty i ogniki otaczającego ją trzęsawiska.

Były to jedyne światła w tej ciemności.

Wywabione niemi ze swych jam, szczelin i rumowisk przypełzały lub przyskoczyły przed tron Nocy różne potwory ziemi. Sycząc, piszcząc, skrzecząc, mówiąc, grzechotliwym i rozdźwięcznym chórem zaczęły błagać ją o miłosierdzie i łaskę.

— Władczyni potężna, opiekunko słabych i ułomnych, zlituj się nad nami, niemogącymi znieść jasności i żyć w niej bezpiecznie. Pod twoją jedynie osłoną opuszczamy nasze legowiska i spożywamy resztki plodów ziemi, niedojedzone i porzucone przez twory, których oczy nie mrużą się w świetle. Dobroczynna i sprawiedliwa pani, zedrzyj z niebios oślepiającą nas tarczę, zdmuchnij przeklętą pochodnię dnia, zamknij okno świata przed słońcem, które nas razi, w nory i dziuple zapędza, prześladowcom ukazuje. Niech od ściany do ściany przestrzeni rozścielą się zmierzchy i rozepną czarne smugi, niech na żadnym skrawku ziemi nie będzie widniej, niż na dnie morza, niech wieczna ciemność ściera wszystkie barwy, niech nawet śniegi pomracza.

— Czarodziejko, połóż swe chłodne palce na powiekach oczu z małemi źrenicami i zamknij je snem mocnym. Zawrzyj usta wymowne, albo uchyl je tyle jedynie, ile potrzeba do wciągnięcia powietrza płucom, do przepuszczenia lekkich westchnień i chrapliwych oddechów. Nakaż milczenie głosom donośnym i dźwięknom śpiewnym, niech natomiast odezwą się swobodnie i słyszane będą nasze stłumione szepty i krótkie poświsty. Otul świat ciszą, dozwól ją tylko zakłócać szmerom i na chwilę rozdzierać żywiołom natury. Dzieci twoje, zagłuszone gwarem życia, stoją pośród niego nieme. Ani drżenie pyłków ostu, ani syk żmii, ani sapanie sowy, ani chrząkanie kreta, ani żałosna trąbka komara, ani grzechotka żaby — żaden ton z symfonii, na cześć twoją od wieków granej, nie zdoła się przebić przez muzykę orkiestry dnia. Spraw wszechmocna, ażeby pieś

W Chateauvillain podprefekt z żandarmami rozkazał zamknąć otwartą bez zezwolenia rządu, przy fabryce p. Fischera— kaplicę. Właściciel fabryki z robotnikami stawił zacięty opór, z obu stron są ranni i zabici. Rozumie się, że policya zwyciężyła, ale cała sprawa narobi nie mało hałasu i stać się może sygnałem do stanowczej walki panstwa z kościołem.

We Włoszech zapowiadają częściową zmianę gabinetu, która nie ma wszakże donioślejszego znaczenia politycznego, lecz jest po prostu rezultatem intryg osobistych. Może być również, że parlament zostanie rozwiązany.

Socyaliści angielscy: Hyndham, Burns i inni zostali uwolnieni przez sąd od wszelkiej odpowiedzialności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE *).

Myśl założenia u nas Towarzystwa krajoznawczego poruszona w *Wędrowcu* (nr. 6), o ile wnosić można z głosów kilku innych pism, obudziła wśród publiczności dość żywe zajęcie. Praktyczne urzeczywistnienie tej myśli według szerszej skali, wobec istnienia w Cesarstwie instytucyi pokrewnej, możliwem jest tylko pod postacią jej „Wydziału“ na podobieństwo Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Inne pomysły, jak np. rada połączenia projektowanego towarzystwa z istniejącem już — wioślarskiem, a zapewne i uwagi kronikarza *Ateneum* na temat znanej piosenki, że „tylko to boskie, co nasze, krakowskie“ — wypływają z nierozumienia rzeczy i niejasnego pojmowania celu, zadań i środków, ustroju wewnętrznego i szczególnych przywilejów instytucyi czysto naukowej, jaką jest Towarzystwo geograficzne.

W obecnej zwłaszcza chwili, kiedy poprostu upadamy pod ciężarem groźnych zagadnień, rozstrzygających być może o podstawowych warunkach naszego bytu, a kto wie, czy nawet nie o istnieniu naszem plemiennem, organizacya zbiorowej pracy nad poznaniem własnego kraju, jego ziemi i ludzi jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Smutne też wrażenie robią zabawne pomysły i nietaktowne posądzenia ludzi, którzy nie obejrzeli dokładnie tego, co i o czem mówią. Na jedyny pozornie poważny zarzut, przeciw otwarciu w Warszawie Wydziału Towarzystwa geograficznego, można odpowiedzieć, iż dobrze zrozumiany interes publiczny zawsze usprawiedliwi tych, którzy, szczerze pragnąc przynieść krajowi istotny pożytek, powtórzą za Henrykiem IV: *Paris vaut bien une messe!...*

Projekt ten zresztą nie jest wcale nowy: powstał on bowiem już przed 14 laty, jak się zdaje, z inicyatywy ówczesnego namiestnika Królestwa hr. Berga. Podajemy tutaj notatkę historyczną, spisaną według protokułów posiedzeń Rady głównej Towarzystwa (1872—4 r.), chcąc wyjaśnić charakter zalecanej obecnie instytucyi, a nadto chcąc wskazać tę drogę, na której ów projekt, już bardzo blizki ostatecznej sankcyi, zatrzymał się z przyczyn, prawdopodobnie, przypadkowych.

Statut Towarzystwa geograficznego wymaga przedewszystkiem, ażeby na liście członków-założycieli mającego powstać Wydziału zapisało się przynajmniej 100. Warunek ten w 1872 r. został spełniony całkowicie, w spisie bowiem osób, które pragnęły wówczas należyć do miejscowego Wydziału, figuruje 114 osób.

Następnie namiestnik wystąpił z formalną propozycyą otworzenia Wydziału, wyłożywszy ją w piśmie na imię prezesa Towarzystwa geograficznego Wielkiego księcia Konstantego. W piśmie tem zwraca uwagę Towarzystwa na różnorodne bogactwa przyrodzone kraju, na jego klimatyczne, etnograficzne, ekonomiczne, prawne i społeczne właściwości, stanowiące nader obfity i ciekawy materyał do badań naukowych i zaznacza zarazem dotkliwy brak odpowiedniego organu, któryby dawał pobudkę, kierunek i łączność zarówno jednostkowym, jako też zbiorowym poszukiwaniom na tak obszernem a dotąd ugorującem polu. „Biura statystyczne pozakładane przy zarządach gubernialnych nie mogą wznieść się do wysokości naukowego, przemysłowego i administracyjnego znaczenia takich poszukiwań, gdyż administracya sama przez się bez czynnego spółudziału osób prywatnych, bezpośrednio i wszechstronnie obeznanych z warunkami miejscowymi, nie zdoła nawet przy najlepszych chęciach i najgorliwszem staraniu nagromadzić i opanować tej masy danych, jakie się składają na dokładny i wierny obraz kraju.“ W końcu wyraża on przekonanie, że podobne zadanie mógłby jedynie spełnić miejscowy Wydział Towarzystwa geograficznego, który znalazłby dostateczną liczbę chętnych i uzdolnionych sił naukowych.

Na wrześniowem posiedzeniu 1872 r. Rada główna Towarzystwa przyjęła propozycyę namiestnika Królestwa Polskiego z „najgorętszem uznaniem“ i bezwłocznie przystąpiła do wypracowania projektu ustawy. W końcu września projekt ten już został przesłany namiestnikowi, wobec bardzo naturalnej ewentualności, że warunki miejscowe lub też względy, nienależące do kompetencyi Towarzystwa, jako instytucyi wyłącznie naukowej, wymagać mogą tych lub innych w nim zmian.

W początku następnego roku hr. Berg zwrócił się do Towarzystwa z nową propozycyą. Przewidując, że skutkiem ogromu zadania Wydział warszawski w pierwszych zwłaszcza latach swej działalności nie będzie mógł rozporządzać dostatecznymi środkami materyalnymi, prosi o wyznaczenie z właściwych funduszów Towarzystwa stałej zapomogi w ilości 3,000 rs. rocznie. Rada główna przesłała namiestnikowi (w lutym 1878 r.) następującą odpowiedź:

Dwa tylko wydziały — syberyjski i tyfliski — otrzymują roczny zasiłek w ilości 2,000 rs.; są one najbardziej oddalone od Towarzystwa, posiadające stosunkowo nie-

*) Sądzimy, że artykuł ten, łaskawie nam nadesłany, jest najpoważniejszym głosem w tej sprawie, bo ją sprowadza z obłoków na ziemię. *Red.*

---

ziemi nie brzmiała głośniej, niż wnętrze grobu, w którym szeleszczą drobne robaczki i odbijają się echa gniewów bożych. Niech Bóg tylko ma prawo w naturze huczeć gromem, tak jak on jeden ma prawo świecić błyskawicą.

— Rodzicielko spokoju powstrzymaj lub osłab ruch życia, który nas chłonie i dławi. Nie możemy ani zdążyć w wyścigu stworzeń zuchwałych, ani mu drogę zagrodzić nieprzebytą górą. Szalone wiry kręcą nas w swych kołowrotach i przerzucają sobie wzajemnie, gwałtowne prądy rozmiatają nas i pędzą w dal, jak tuman kurzu. Podczas gdy my pełzamy, przelatuje po naszych ciałach i rozgniata je gromada nieokiełznanych bestyj, goniących marę zdrożnego szczęścia. Matko najdobrotliwsza, niech tętno ziemi zwolnieje, niech Bóg tylko wypuszcza na nią z chmur swe uragany, ale niech jej twory nie idą z nimi w zawody. Spokoju granitowych skał, spokoju zamarzłych oceanów, spokoju pustyń piaszczystych — bądź błogosławiony!

Noc dała znak łaski pochyloną głową, za który rzesza, zgromadzona przed jej tronem, podziękowała przeciągłym wybuchem pisków, skowyczeń i ryków, który aż odbił się o strop niebios.

Ciemność tak zgęstniała, że w niej znikła postać władczyni, jej tron wraz z godłami i orszakiem, nawet jej sierp księżycowy, gwiazdki jej szaty i błędne ogniki. Najbardziej rozszerzone źrenice nie mogły dojrzeć niczego. Słychać było tylko trzepotanie skrzydeł, tarcie wijących się ciał, ciężkie podskoki lub złośliwe warknięcia.

Nagle, po nad tem zbiorowiskiem, jak iskierka, w czarnym węglu, zaświecił w mroku maleńki robaczek, który płynął na spokojnych falach powietrza. Natychmiast prześliznął się po ciszy syk, gruchnęły pomruki, wreszcie odezwały się wycia, powstał zgiełk, gonitwa — i biedny robaczek w jakiejś paszczy zginął. Teraz i on, choć również gwiazdka Nocy, w jej płaszczu błyszczeć nie mógł.

Rozdrażnione walką o ten drobny łup, a głodne drapieżce zaczęły coraz groźniej szczerzyć ku sobie jadowite i ostre zęby. Tu i owdzie szarpnięty i zraniony odskomlił krzywdę lub pomścił ją na innym, tu i owdzie padł w ciszę krótko ucięty śmiertelnem uderzeniem krzyk. Napaści stawały się coraz częstsze, a ich odpory — rozpaczliwsze. Ziemia po kilkakroć zastękała boleśnie.

Sen jej dzieci był ciężki i dręczący. Niektóre z nich opuściły swe łoża i nieobudzone wyszły na pola, przesuwały się wolno śród drzew leśnych lub stawały zadumane nad krawędziami obrywów przepaścistych. Gdy do uszu ich dobiegł odgłos zajadłej walki, cofały się instynktownie i przerażone przyspieszały kroku w stronę przeciwną. Gdzieniegdzie błysnął kaganek w ręku istoty, od której sen pierzchł i którą echa krwawych zapasów wypłoszyły z noclegu; ale wkrótce wzbijał się koło niej zmieszany z różnych wrzasków zgiełk, śród którego gasły owe płomyki, a na ich miejscu tryskał głęboki jęk.

I ziemia brzmiała hymnem zwycięskiego gwałtu.

* *
*

Ciemność nie rzedniała, a całun Nocy wciąż wisiał rozpięty na obłokach. Powoli wiatr zaczął je kołysać, fałdować, zganiać i rozpęgać, spajać i szarpać zwijać i rozciągać na frędzle. Kilka kłaków czarnych oddarł od stropu i cisnął, odsłoniwszy płaty jasności. Zleciał na ziemię, skręcił z liści i piasku słup tańczący i obniosłszy go po polach, rozdmuchnął. Tymczasem u sklepienia nieba nabrzmiała ciężka, czarna chmura, w której łonie odzywały się głuche grzmoty. Przewalała ona ciągle swe olbrzymie kłęby, leniwa a niespokojna, ślepa a groźna. Nie otworzyła oczu, nie błysnęła ani jednym promieniem gniewu, wyginała jedynie swe wielkie cielsko, a przecież, chociaż zdawała się zasypiać, zionęła walką, bo drżała burzą. Jej złowrogie turkoty rozlegały się długo i coraz głośniej, nareszcie zaryczała wstrząsającym, przeciągłym hukiem i wylała na ziemię potoki deszczu, które od ziemi do nieba przeciągnęły się lasem strun płynnych. Wszystkie twory Nocy wsunęły się do swych schronisk, na otwartej ziemi pozostało tylko to, co do niej przyrosło. Nawet wiatr, wskoczywszy na wierzchołki drzew, uciekł z nich w obłoki, które objęły świat ciemno-szarą pokrywą. Burza pieniła się.

(D. n.)

W. Okoński.

liczne siły naukowe i działające na rozległych obszarach, prawie zupełnie nowych dla nauki. Inne zaś wydziały nie otrzymują żadnych zapomóg stałych. Rada też nie widzi właściwego powodu do zrobienia wyjątku dla warszawskiego, tem bardziej, że początkowe prace jego mogą być wrazie braku środków wydawane kosztem Towarzystwa, a następnie, gdyby w przyszłości podjęto jakie szersze zadanie i gdyby zaszła potrzeba urządzenia wyprawy naukowej na większą skalę, ma ono nadzieję wyjednać dla Wydziału warszawskiego niezbędny zasiłek pieniężny.

W tem miejscu zrywa się nić korespondencyi pomiędzy naczelnikiem a Towarzystwem geograficznem i odtąd sprawa ta wcale nie była poruszaną na posiedzeniach Rady głównej. Do ostatecznego załatwienia brakowało jeszcze dwóch formalności — zatwierdzenia ustawy przez namiestnika i przedstawienia jej do Najwyższej decyzyi.

Uprzejmości jednego z członków Towarzystwa geograficznego w Peterburgu zawdzięczamy następujące informacye. Wr. 1874 generał Minkwitz przedstawił nowemu naczelnikowi kraju, hr. Kotzebue, całą sprawę w tem stadyum, w jakiem zaskoczyła ją śmierć hr. Berga. Generał-gubernator przyjął projekt bez żadnej zmiany i postanowił nadać sprawie właściwy kierunek urzędowy; jednakże Towarzystwo geograficzne nietylko za życia hr. Kotzebue, lecz i w ciągu następnych 10-ciu lat nie otrzymało żadnej urzędowej wiadomości o decyzyi tutejszej władzy w sprawie, tak gorąco przez nią pierwotnie popieranej.

Na zakończenie przytaczamy główną osnowę projektu ustawy Wydziału warszawskiego, który, jak nadmieniliśmy, Rada główna Towarzystwa geograficznego wypracowała przed 15-tu laty.

§ 2. Warszawski Wydział C. K. T. G., działający pod bezpośredniem kierownictwem głównego naczelnika kraju, pracuje głównie nad zbadaniem Królestwa Polskiego pod tymi wszystkiemi względami, które są przedmiotem zajęć Towarzystwa, a mianowicie ściśle-geograficznym, przyrodoznawczym i statystycznym.

§ 3. W tym celu: a) wyszukuje i podaje do powszechnej wiadomości już przedtem zgromadzone dane, dotyczące Królestwa a znajdujące się czy to w archiwach miejscowych, czy też u osób prywatnych, obznajmia się z niemi i ocenia ich wartość naukową; b) prowadzi na miejscu poszukiwania naukowe, mając na widoku sporządzenie później dokładnych map i szczegółowego fizyko-geograficznego opisu kraju; c) okazuje pomoc osobom prywatnym, zwiedzającym Królestwo w celach naukowych, oraz stara się o pozyskanie dla czynnego spółudziału w badaniu kraju osób, które bądź przez swą gorliwość dla nauki, bądź też dzięki swym wiadomościom specyalnym mogą się do tego celu nadawać; d) ma pieczę o urządzaniu konserwatoryów dla materyałów i środków pomocniczych naukowych, należących do sfery jego zajęć.

§ 4. Wydział warszawski wybiera na swych członków te osoby, które mogą być pożyteczne dla jego celow naukowych. Osoby te otrzymają tytuł członków czynnych C. K. T. G.

§ 5. Osoba, która zaofiaruje na korzyść warszawskiego Wydziału nie mniej jak 300 rs., otrzymuje na zasadzie statutu C. K. T. G. tytuł członka-promotora z dyplomem podpisanym przez prezesa Towarzystwa. Ofiary te stanowią odrębny kapitał, zostający w zupełnem rozporządzeniu Wydziału.

§ 6. Wydział do zarządu czynnościami wybiera ze swego łona prezydującego i głównego referenta, których wybór zatwierdza główny naczelnik kraju. Ich obowiązki i prawa w stosunku do Wydziału, jak również bieg i regulamin czynności administracyjnych Wydziału, określony jest w przepisach ogólnej ustawy C. K. Towarzystwa geograficznego; wszelkie zaś zmiany, jakich wymagać mogą miejscowe warunki zarządza sam Wydział za zezwoleniem głównego naczelnika kraju.

§ 7. Kancelaryjne jako też i inne wydatki Wydział pokrywa z rocznych wniosków swych członków (stosownie do ustawy Towarzystwa). Sumy, będące własnością Wydziału, wydają się za rozporządzeniem prezydującego przez głównego referenta, z zaciągnięciem do właściwej księgi sznurowej, która po skończonym roku przedstawia się do rewizyi zgromadzenia członków Wydziału.

§ 8. Stosunek warszawskiego Wydziału C. K. Towarzystwa geograficznego do samego Towarzystwa jest następujący:

a) Wydział ten stanowi integralną część Towarzystwa i na mocy tego korzysta z Najwyżej nadanej Towarzystwu pieczęci z herbem państwowym, oraz z prawa bezpłatnego przesyłania pocztą wszelkiej korespondencyi i paczek do jednego puda wagi.

b) Towarzystwo ma obowiązek dopomagania Wydziałowi we wszystkich jego przedsięwzięciach naukowych radami, wskazówkami, udzielaniem mu wiadomości, jakie samo posiada, materyałów i innych środków pomocniczych naukowych, oraz wsparć pieniężnych, gdy na to pozwolą jego własne fundusze.

c) Prace Wydziału drukują się jego kosztem albo też kosztem Towarzystwa.

d) Ze swej strony Wydział warszawski spełnia prośby i zlecenia, z któremi Towarzystwo będzie się doń zwracało; roztrząsa postawione mu kwestye; opracowuje wskazane przedmioty i wogólności dostarcza Towarzystwu pożytecznych wiadomości dotyczących specyalnej sfery jego zajęć.

e) Wydział składa Towarzystwu corocznie szczegółowe sprawozdanie z przebiegu swych czynności, które to sprawozdanie włączać się będzie do ogólnego sprawozdania rocznego C. K. Towarzystwa geograficznego.

Nie rozbierając tych reguł, zaznaczamy tylko istnienie podstawy, na której dalsze starania oprzeć należy.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA TEORYA DZIEDZICZNOŚCI.

Rozmaite nazwy dawano teoryi Darwina. Nazywano ją: nauką o pochodzeniu gatunków (Descendenz-lehre), teoryą rozwoju (Entwicklungstheorie), ewolucyjną, wreszcie teoryą *dziedziczności*. Ze wszystkich najmniej odpowiedniem, najmniej stosownem jest miano ostatnie: jeżeli czego brakowało darwinizmowi, to właśnie naukowej i do przekonania trafiającej *teoryi dziedziczności*. Nieśmiertelny twórca nowego w dzisiejszej biologii kierunku sam rozumiał to dobrze. Zjawisko dziedziczenia przez potomków cielesnej i duchowej przyrody ustrojów rodzicielskich podniósł on do godności jednego z czynników rozstrzygających w sprawie kształtowania się i powstawania nowych form zwierzęcych i roślinnych; wiedział jednak, iż jest to tylko proste zaznaczenie faktu, niezmiernie ważnego wprawdzie, ale niezdolnego wyjaśnić nam najgłębszej treści i pierwotnej przyczyny objawu. Nierozwiązaną ciągle, nierozstrzygniętą pozostawała zagadka: „Skąd czerpie organizm ową zdolność przekazywania z taką dokładnością budowy swej — potomkom? Jak się to dzieje, że jedna jedyna komórka, jajko, z pośród milionów innych komórek ciała, posiada zdolność uwolnienia się z niego i odtworzenia samodzielnie wszystkich jego własności i przymiotów?“ Chcąc na pytania te odpowiedzieć, sam Darwin pokusił się o naukowe wytłomaczenie zjawiska *dziedziczności*. Odnośną teoryę jego, znaną w nauce pod imieniem *pangenezy*, łatwo jest zawrzeć w kilku wyrazach. Przypuszcza ona, iż wszystkie komórki dojrzałe lub istniejące w czasie *zarodkowego* rozwoju organizmu „wydzielają ze siebie małe ziarenka albo atomy, zaopatrzone w dostateczną ilość pokarmu, które krążą po całem ciele i „podlegając dzieleniu się, mogą znów później wytwarzać komórki, podobne do tych, z jakich same pochodzą.“ Pogląd ten wobec ściślejszej krytyki ostać się nie może: atomom — a więc jednorodnym, jednostajnym cząstkom danej materyi — przypisuje on własności najróżnorodniejsze; jeżeli zaś — jak to jest widocznem — „atomy“ owe nie są do siebie podobne, to znów i przyczyna i wewnętrzna istota ich różnic pozostaje w dalszym ciągu tajemnicą. Atomy te albo „zarodeczki“ mają się, podług Darwina, gromadzić w komórkach rozrodczych (nasienie i jajko), przedstawiających przeto jakby wyciąg (ekstrakt), jakby streszczenie w sobie całego rodzicielskiego ustroju. Niektóre zarodeczki zaczynają żyć i rozwijać się albo zaraz w pokoleniu następnem, albo też przez pewien przeciąg czasu pozostają w bezczynności, występując do życia dopiero później — w trzeciej lub czwartej generacyi. W tym ostatnim wypadku są one przyczyną *atawizmu*, t. j. powrotu cech jakiegoś przodka, bardziej niż rodzice odległego.

Ernest Haeckel, probując rozwiązania zagadki na innej drodze, wystąpił znów ze swoją teoryą *perigenezy* (*Plastidul-Perigenesis*). Podług niego cząsteczki fizyczne czyli drobiny (molekuły) protoplazmy posiadają wszystkie jej własności życiowe. Pogląd ten jest jeszcze bardziej ryzykownym i staje w sprzeczności ze wszystkiem, czego uczy nas chemia i fizyka. O własnościach *chemicznych* ciała wyrokują: kształty i wzajemne do siebie stosunki atomów; wszelka w nich zmiana jest tu źródłem zjawisk chemicznych. Z atomów składają się, jak wiadomo, drobiny albo cząsteczki fizyczne (molekuły); tych zaś wielkość, wzajemne położenie itp. stanowią znów o *fizycznych* ciała przymiotach. Spotykając przeto zjawiska *biologiczne*, z góry już przewidywać możemy, iż właściwą im sferą działania są już nie atomy i nie drobiny, lecz jakieś wyższe, bardziej złożone jednostki materyi. Nowoczesne poszukiwania biologów kierują się właśnie w stronę takiego przypuszczenia. Burmeister, Sachs, Brücke, Nägeli i inni, badając wewnętrzną budowę protoplazmy, przyszli do wniosku, iż — tak samo jak błony komórkowe i krochmal — składać się ona musi z małych cząsteczek, zwanych *micellami*. Każda z nich otoczoną jest warstewką wody mniej lub więcej grubą, przedstawia ciałko krystaliczne, złożone z kilku cząsteczek fizycznych (molekuł) i odznacza się podwójnem załamaniem światła. Liczba, układ i wzajemny do siebie stosunek micelli, stanowią o biologicznych własnościach protoplazmy. Nägeli i wielu innych biologów odróżniają dziś dwa rodzaje protoplazmy: *stereoplazmę* i *idioplazmę*. Pierwsza z nich jest podstawą zjawisk życiowych, warunkujących istnienie pojedynczego osobnika; drugiej zaś budowa micelarna i siły międzymicelarne — stają się podściełiskiem zjawisk dziedziczności, przenoszenia się cech dziedzicznych z rodziców na potomstwo. Nägeli wyobraża sobie, na podstawie pewnych danych faktycznych, iż micelle ułożone są w protoplazmie podłużnymi i równoległymi szeregami: w ciągu życia danego osobnika układ ten i zarysy ich zewnętrzne się nie zmieniają, następuje to wszakże — z biegiem idących po sobie pokoleń. Różnica w układzie szeregów micellarnych — stanowi o szczególnych własnościach biologicznych danego *gatunku*, zmiany zaś, jakim szeregi owe podlegają w ciągu pokoleń, są przyczyną powstawania nowych form zwierzęcych

i roślinnych. Podług Nägellego cząsteczki *idioplazmy* rozłożone są nakształt *sieci* we wszystkich komórkach ciała.

Odmienną nieco teoryę dziedziczności przedstawił w czasach najnowszych A. Weismann, profesor zoologii we Freiburgu *). *Idioplazmę* Nägelego zastępuje on t. zw. plazmą zarodkową" (Keimplazma), którą umieszcza nie we wszystkich komórkach ciała, lecz tylko w *komórkach rozrodczych* (jajko i nasienie), a mianowicie w substancyi ich jąder. Aby przekonać czytelnika, że nawet tak subtelne różnice nie są wynikiem nieuzasadnionych tylko przypuszczeń, pospieszam dodać, że Weismann opiera się tutaj na tym powszechnie prawie znanym fakcie, że w sprawie zapładniania zlewają się częstokroć same tylko *jądra komórek płciowych* (nasienia i jajka), niekiedy zaś jądra te są dostatecznem podścieliskiem dalszego rozwoju. „Skoro jednak komórki rozrodcze nie są jakby „ekstraktem z całego ciała," natenczas możliwymi stają się dwa tylko wypadki: albo substancya rodzicielskiej komórki rozrodczej może odbyć szereg przeobrażeń i wydawszy ze siebie nowego osobnika, przyprowadzić go znowu do wytworzenia takiej samej (jak rodzicielska) komórki rozrodczej; albo też: nowe komórki rozrodcze potomków (jajko i nasienie) w istotnej, ściśle określonej swej części nie składają się z cząsteczek ciała potomka, ale *bezpośrednio z komórki rozrodczej rodziców*. Przypuszczenie drugie bardziej jest prawdopodobnem i ono też stanowi istotę nowoogłoszonej teoryi Weismanna, znanej pod imieniem zasady „ciągłości plazmy zarodkowej. Na pierwszy rzut oka teorya nie jest wolną od zarzutów. Najpoważniejszy z nich zawiera się w pytaniu następującem: W jakiż sposób, przyjmując *ciągłość* plazmy zarodkowej, zdołamy wytłomaczyć sobie dziedziczenie cech *nabytych*? Otóż najprzód odpowiada się tutaj, iż organizm potomka takie tylko cechy odziedziczyć może, do jakich jest skłonnym; z drugiej strony teorya „ciągłości plazmy zarodkowej" nie odrzuca bynajmniej przypuszczenia, iż tenże organizm danego osobnika na naturę odziedziczonej po rodzicach „plazmy" wpływ jakiś, acz ograniczony, wywierać może.

Nie będziemy się dłużej zatrzymywali nad tem, w jaki sposób Weismann tłomaczy rozmaite zjawiska dziedziczności; nadmienię jeszcze tylko, iż — wychodząc ze swojej teoryi — nie widzi on żadnej różnicy jakościowej pomiędzy rozmnażaniem się *płciowem* i dzieworodczem (*parthenogenesis*). Różnica ta jest tylko ilościową i polega na nagromadzeniu się w pierwszym wypadku większej ilości *materyałów odżywczych*, które przynosi ze sobą nasienie. Pogląd powyższy opiera się na faktach.

Teorya Weismanna w głównych swych zarysach potwierdza niezmiernie trafne przypuszczenia prof. Szokalskiego, wyrażone w książce p. t.: „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie." Gdyby szan. profesor przyrodniczej teoryi swojej nie był zaciemnił i oszpecił metafizyką, zdołałby zapewne uprzedzić uczonego niemca w sprawie wyświetlenia zawiłych i ciemnych zagadnień dziedziczności. Ale takiem jest snać przeznaczenie naszych uczonych, iż godząc „prawdziwą" wiarę z prawdziwą nauką, ani pierwszej, ani drugiej, ani imieniowi polskiemu nie przynoszą pożytku.

J. K. Potocki.

*) *Die Continuität d. Keimplazmas als Grundlage einer Theorie der Vererbung*. Jena, 1885.

HISTORYA.

Konstancya Skirmuntt. **Dzieje Litwy,** opowiedziane w zarysie z 3-ma mapami. Kraków, 1886, 82 str. VII i 151.

Oznaczywszy położenie geograficzne kraju, krótko opowiedziawszy o pochodzeniu narodu i jego szczepach, a najkrócej (i niedostatecznie) o mowie i sposobie życia w czasach zamierzchłych, szerszy autorka poświęca ustęp mitologii litewskiej, po czem wymienia sąsiadów i przystępuje do dziejów. Chwalimy umieszczenie tego rodzaju wiadomości na wstępie, lecz proponujemy zmiany w układzie. Z opisem położenia kraju połączyćby należało geografię Litwy, którą autorka pomieściła na końcu książeczki; w związku z geografią iść powinno wyliczenie sąsiadów, których najniestosowniej znajdujemy po wiadomościach z mitologii. Proponowane przez nas zmiany usystematyzowałyby treść, a tem samem i ułatwiłyby naukę dzieciom, dla których p. Skirmuntt przeznaczyła swą pracę.

Na następujące autorka historyę Litwy dzieli okresy: 1) czasy najdawniejsze do Mendoga r. 1242, 2) Litwa wzrastająca (do Gedymina r. 1315), 3) podbijająca (do r. 1386), 4) w połączeniu z Polską. Nic nie mamy przeciwko takiemu podziałowi, proponujemy tylko wprowadzenie nazw, dobitniej charakteryzujących zasadnicze przełomy w dziejach. Czasy „najdawniejsze" przezwaćby można „bajecznymi;" że pomiędzy wyrażeniami: „wzrastająca" a „podbijająca różnica rysuje się słabo, wypadałoby przeto dla okresu 2-go i 3-go wymowniejsze wynaleść nazwy. Niechby w okresie od Mendoga do Gedymina nazywała się Litwa „podbijającą," a w czasach następnych „potężną" albo „kwitnącą."

Książeczka p. Skirmuntt odznacza się dobrym w ogóle układem, prostotą i jasnością opowiadania, oraz — co się rzadziej zdarza kobietom — pewną naukową ścisłością. Nie masz w niej źle użytych terminów, ani właściwej dzieleczonym warszawskim mętności pojęć. Znać, że autorka układała podręcznik z zamiłowaniem i rozwagą; że kilkakroć odczytała swą pracę, nim ją oddała pod tłocznię. Przy podawaniu faktów potrafiła chwalebną utrzymać miarę: nie przeładowała książeczki nazwiskami, datami itp. rupieciami, których dziecko strawić nie może.

Zastosowanie *ilości* materyału do umysłowych dziecka uzdolnień za wielką poczytujemy zaletę, szkoda tylko, że *jakość* niezupełnie zadośćczyni potrzebie. Dobrem jest to, co autorka podała; złem, że nie uwzględniła stosunków wewnętrznych. Czytając: „król i Witold nadali (w Horodle) litwinom swobody, jakie mieli polacy" (str. 93), nie wiemy *jakie?*; gdy znajdujemy gdzieindziej, że „Zygmunt August zrównał szlachtę litewską w prawach politycznych ze szlachtą polską, t. j. nadał litwinom prawa, jakie dotąd w Polsce tylko istniały" (str. 127), nie możemy odgadnąć, co się stało z wolnościami, nadanemi w Horodle. Wypadało dokładnie przedstawić różnicę pomiędzy organizacyą wewnętrzną Litwy i Polski przed unią.

Błędów w książeczce nie ma, razi tylko stosowana przy podawaniu liczby poległych nieprzyjaciół przesada: 15,000 trupów krzyżackich pod Projden, 30,000 moskiewskich pod Orszą, 24,000 tatarskich na Wołyniu! Wyrażenia: „trzęsienie ziemi wyobrażali sobie... *skutkiem* gniewu bożka" (str. 4), „Lizdejko go (Gedymina) *objaśnił*" (str. 57) polskiemi nie są. Niepotrzebnie autorka krzyżaka Henryka de Plocke wywodzi z Płocka, niewłaściwie Szczecin nazywa Sztettynem (str. 55, 59), a Prusy Prusyą. Zresztą całość robi wrażenie dobre; trzy piękne mapki stanowią prawdziwą ozdobę pożytecznej książeczki.

Sm.

LITERATURA I SZTUKA.

PIOTR CHMIELOWSKI.

I.

Mamy przed sobą pisarza olbrzymiej wiedzy, wyjątkowej pracy, zimnej trzeźwości. Już powiedzieliśmy dużo — a jeszcze nie dosyć. Bo nic trudniejszego nad określenie człowieka umiarkowanego, „pozytywisty," który na swym sztandarze wypisał hasło „możliwej objektywności." Spytaj przyjaciół Chmielowskiego, towarzyszów, pracujących w tym samym co on zawodzie, nawet owych ludzi „młodych," z którymi od ław szkolnych szedł razem i łącznie, jakie on wyznaje przekonania filozoficzne i społeczne, jaki jest jego „subjektywizm"—odpowiedzą ci niedostatecznie, albo wyznają otwarcie, że — nie wiedzą. Przeczytałem wszystkie niemal książki, rozprawy i artykuły jego od najwcześniejszych aż do ostatniego największego dzieła o Mickiewiczu — a znamy się dobrze nie od dzisiaj; czy sądzicie, że zdołałem uchwycić ten główny, znamienny rys charakteru, ową t. z. przez Taine'a *une qualité maitresse*, ową właściwość fizyognomii, będącą tem w człowieku, czem zasadniczy akord w melodyi, czem ogólny nastrój w obrazie? Ktoby chciał wynaleźć ten mianownik, do któregoby odnieść należało wszystkie prace i dążenia naszego, bądź co bądź największego historyka literatury, ten daremnie by szukał. Zaliczają go do obozu t. z. pozytywistów. Rzeczywiście po skończeniu szkoły Głównej, wstąpiwszy wraz z gromadką zwaną „młodymi" (z A. Świętochowskim, J. Kotarbińskim, J. Ochorowiczem) do jedynego wówczas pisma liberalnego *Przeglądu*, zapalił się ogniem tej „młodości," ale słabiej niż inni, chłodł zaś dość szybko i przeniósł się do *Opiekuna domowego* i *Niwy* — dwu kolonij *Przeglądu*, które wywiesiły chorągiew o kilka odcieni bledszą—umiarkowańszą. W tym kierunku „umiarkowania" posuwał się ciągle, zawiązał nawet stosunki z pismami konserwatywnemi, których bogom obłudnie nie służył, ale od wszelkiej jaskrawości, radykalizmu i krańcowych stanowisk trzymał się zdaleka. Był to naturalny wynik jego temperamentu i uzdolnień. Jeżeli są ludzie metalowi, w których najlżejsze uderzenie wywołuje dźwięk i drganie całej — że tak powiem—figury, to Chmielowski jest człowiekiem kamiennym. Bezwrażliwy, zimny, niezdolny do żadnych silnych uniesień, pohopny do analizy każdego zapału, nie mógł zapłonąć do jakiejś idei. Nie pozwalała mu na to właściwość jego umysłu, rozwiedzionego z filozoficznością— z hipotezą.

Był i jest głównie krytykiem literackim. Na tem polu zastosował zasady realizmu i utylitaryzmu, podniesione przez młodych pozytywistów. Domagał się od poetów i powieściopisarzy, aby podeptawszy raz idealistyczne formułki, jak „sztuka dla sztuki," sięgali do samego źródła — do życia. Wykazywał im, że, odgrodziwszy się chińskim murem od społeczeństwa, nie czują, nie rozumieją potrzeb ogółu; przypominał, że po za sferą osobistych, miłosnych stosunków, istnieje ogólniejsza sfera cierpień i smutków, przewyższająca stokrotnie zawody erotyczne. „Porzućcie — wołał do poetów—podniebne stropy i zejdźcie na ziemię, pomiędzy pracujących i cierpiących, wesołych i smutnych, wniknijcie w rany społeczeństwa, a głos wasz opro-

mieni ciemności, umili godziny biedy. Precz z bezświadomem natchnieniem poetów, precz z ich mazgajskiem ospalstwem duchowem, żądamy od poezyi skąpania w nurcie myśli zdrowych, mogących w żyły beletrystyki nowe wlać życie, przemienić ją na istotny czynnik *produkcyi społecznej*..." („Utylitaryzm w literaturze," *Niwa* 1872 nr. 18). Gorętsze te odezwy skutkowały, lecz apostoł niezawsze pamiętał o społecznem zadaniu krytyki i bywał nieraz w swoich artykułach albo przedmiotowym referentem, albo też analizatorem zewnętrznym, rewizorem prawidłowości w formie. Wtedy — według przysłowia— drzewa las mu zakrywały.

I dziś w sądzeniu powieści lub poematu przedewszystkiem zwraca uwagę na logiczność pomysłu, zgodność jego z życiem, gramatyczność języka itp. Szekspirowi nie darowałby usterek zewnętrznych, i wobec największych olbrzymów, rewidując drobiazgi, zapomina często o rdzeniu rzeczy, o duszy utworu. Rzuci wprawdzie i tutaj wiele trafnych i rozumnych myśli, ale razi czasem drobiazgowością. Nie jest to wszakże bezduszna korekta nauczyciela stylistyki, nie jest to dla złośliwej zabawki podjęte szpilkowanie koncepcistów, nie jest to szarpina krytyczna tkaczów szykany, którzy zwłaszcza w jednem z pism warszawskich rozstawili swe krosna i snują na nich z drwin wzorki, ale jest to w każdym razie zbyt skrupulatne i ze zbyt wielką powagą dokonywane ważenie szczegółów. Jedną z najśmielszych i najlepszych była ocena „Listów z podróży" Odyńca (w *Ateneum* 1878). Chmielowski ma zwyczaj zbierać w pewne grupy najnowsze wydawnictwa w zakresie współczesnej nowelistyki, poezyi, pedagogii itd. ze szczególnem uwzględnieniem „pierwocin autorskich" i debiutów. W krytykach tych zachowana zawsze „możliwa przedmiotowość," a widać w nich sumienność i gruntowną znajomość rzeczy, ale myśli krążą tuż nad ziemią. Chmielowski oddziaływa przeciwko bujaniu pod niebiosa i sam też wysoko nie wzlata. Wiecznie chłodnym słowem nie porywa, nie wstrząsa, nowych drogoskazów nie zatyka, ale za to uczy stąpać pewno i prosto. Dotąd krytyka nasza nawet w przedmiotach pozytywnych czerpie natchnienia z powietrza, śmiało prawi brednie, jest nieukształconą, czasem wprost głupią, choć zuchwałą. Chmielowski ze swej olbrzymiej wiedzy wylewa na puste lub zapalczywe głowy strumienie zimnej wody. Swoje zasady, a raczej sądy krytyczne wygłasza bez względu na sympatye i antypatye osobiste, bez względu nawet na to lub owo stronnictwo.

Nie zapominajmy wszakże, że człowiek ma pewne przekonania nie na to, ażeby je tylko „w kształcie śladów na mózgu własnym przechował," a pewne uczucia nie na to, ażeby je „krył pod korcem." Właściwie krytyk, tak samo jak historyk, nie może być ściśle przedmiotowym, choćby najstaranniej powstrzymywał się od osobistych mniemań. Mimo więc „możliwej objektywności" ulega i Chmielowski gustom i pobudkom osobistym, ze jednak usiłuje zachować bezstronność — to przyznać mu trzeba. Wkracza on w najrozmaitsze dziedziny literatury. Krytyki jego obejmują: filozofię, etykę, historyę, nauki społeczne, filologię, estetykę itd. Nawet na polu obcem, jak np. w ocenie historyi rosyjskiej Brüggena, choć nie posiada szerszej wiedzy, mimo to kontroluje sumiennie na każdym kroku niemieckiego pisarza. Zerwał on tradycyę naszych panegirystów, rozdających korony swoim ulubieńcom, a stawiających pod pręgierzem politycznych wrogów, zrzekł się „systemu ukazów z formuł," ale gruntownej jakiejś reformy nie przeprowadza. „Na szczęście— powiada — spostrzegła się krytyka na konieczności roli, jaką dawniej odgrywała, a podjęła natomiast zadanie inne: zrozumieć przedewszystkiem pisarza i jego dzieło, a potem wyjaśnić ich dla siebie i dla innych, przyprowadzić do świadomości to, co każdy mniej lub więcej bezświadomie odczuwa, odgadnąć przyczyny dla czego tak, a nie inaczej dany utwór się ukształtował, oto rzecz najważniejsza, o którą głównie krytyce chodzi." (*Ateneum*, 1880, III, 153.)

Większe zasługi niż na polu krytyki położył Chmielowski swemi studyami nad historyą literatury, w których rozwinął olbrzymią erudycyę z całą mrówczą pracowitością. Jak Chmielowski pracuje i co wie — trzeba się zdumiewać. Do pamięci jego przylepia się trwale wszystko, co jest faktem konkretnym, datą, nazwiskiem itd. Jego głową posługiwać się można jak encyklopedyą, bibliografią lub słownikiem. Spytaj go wiele wydań miała każda powieść Kraszewskiego, albo kiedy zmarł dziesięciorzędny autor — bez namysłu odpowie. Jego tematy literackie oprawione są zawsze w ramy dat, a chronologia stanowi główną kategoryę jego myślenia.

Jest to zjawisko psychologicznie znane, że zwykle nadmierny wzrost pewnej władzy umysłowej odbywa się kosztem innych. W Chmielowskim tak rozwinęła się pamięć, która jest rzeczywiście zadziwiającą. Skutkiem tego wie on i umie bardzo dużo, ma w głowie zapasy wielkie, ale nieraz wydobywa z siebie i zużytkowywa je bez dostatecznego przerobienia, w stanie zbyt surowym. Porównywano go bądź z Brandesem, bądź z Tainem — nic mylniejszego. Brandes śledzi „prądy," pomija cały ten balast, który Chmielowski do prac swych wnosi, nie tkwi w datach, nie trzyma się miejsca, lecz robi uogólnienia wysokiej potęgi, ogarnia ciągle cały widnokrąg literatury. Taine kreśli plastycznie, wyraziście charaktery literatury, postacie, jest psychologiem, posiada intuicyę, śmiałość, Darwistość i dosadność słowa — akurat znowu to, czego w Chmielowskim nie znajdujemy. Nasz uczony— to pszczoła ze skrzydłami obciążonemi woskiem, z którego w ulu literatury wyrabia komórki. Że nie może od razu napełniać ich miodem, to wina nietylko jego natury, ale i warunków, wśród których działa. Ta, niby uprawiana i oczyszczana niwa naszej literatury obrosła takim chwastem, że trzeba iście Herkulesowego trudu, aby wydzielić ziarno od śmieci i kąkolu. Cały ogrom tej pracy nad literaturą spoczywał w ostatnim dziesiątku lat wyłącznie prawie na barkach Chmielowskiego. Weterani, jak: Tyszyński i Lewestam w Królestwie, a Siemieński i Mecherzyński w Galicyi, zmarli; inni, jak Małecki, usunęli się w zacisze, rzadko tylko głos zabierając i to nie w sprawach żywotnych. Tym, co pozostali, takim Aërom, Ziembom, Ottmanom, Tretiakom, brak znajomości źródeł, zmysłu krytycznego i gruntowności w badaniu. Artykuły Chlebowskiego i innych są sporadyczne. Wysoce uzdolnieni, choć wprost w przeciwnym kierunku, Spasowicz i Tarnowski, nie zajmując się wyłącznie tylko literaturą, nie są zawodowymi w niej pracownikami. A właśnie ta ciągła i nieustanna, sumienna praca zawodowa Chmielowskiego, który z każdym dniem jakiś nowy kawał niwy literackiej oczyści, obrobi i zasieje, jest u nas wyjątkową i zasługuje na szczere uznanie. Może ktoś, ślęcząc nad jakąś drobną kwestyą, rozwinie ją dokładniej, zbada wszechstronniej rozprzestrzenioną literaturę, nie da takiej rozprawce, albo na dwóch kończy się cała działalność tych akademicznych uczonych. Stu takich pisarzów razem wziętych nie dorówna ciągłej i systematycznej pracy Chmielowskiego.

(D. c. n.).

JÓZEF BOGDAN ZALESKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

II.

W wierszu p. t. „Nieskończoność," pisanym na morzu, uniesiony wspaniałością i szerokością widoku powiada Zaleski:

Huknęż cudowną, wielką epopeję
Której tłem wieczność, a Bóg — bohaterem!
I rokoszanie — u stóp mego Pana
Upokorzeni padną na kolana.

Epopeję taką rzeczywiście „huknął" (*Duch od stepu*), ale chociaż w niej „rokoszanom" kazał paść „u stóp Pana," wykazał jednocześnie, że do malowania wielkich obrazów nie posiada ani odpowiedniej siły umysłowej, ani nawet wyobraźni. Po za wylewami wesołych lub smutnych łez swego serca, umiał on tylko śpiewać

Coś o cudach — o sławie
Jakiś niby sen czynów.

Same nazwy jego wierszy (dumy, dumki, szumki, wiośnianki, wniebogłosy, pyłki) znamionują nietylko ich rozmiar, ale zarazem treść i nastrój. Zaleskiemu szło przedewszystkiem o śpiewność brzmienia. Według niego, „*ars poetica* — to niewolące głosu spadkowanie, to pełna, strojna, rozznośna *nuta*." Dlatego lirykom swoim nadawał tytuły muzyczne („W allegro to w penseroso"), lub czysto rytmowe („Ta-na-nana, ti-ni-ni-ni"), dlatego tak często używał przyśpiewów czysto dźwiękowych. W jednej np. wiośniance powtarza ciągle: „Oj bied—bied—bied—bied—bied—biedniż my sobie," w innej legendzie: „Ho—ho! ho—ho!, Ho—hop! ho—hop!, cyt—cyt! cyt—cyt!, Hę—hę! hę—hę!, drum—drum! drum—drum!," gdzieindziej: „Rą—tą ta—ra—ra" itp. Czasem w tych „niewolących spadkowaniach," w tych „strojnych nutach" ginie zupełnie wszelka myśl, a nawet obrazowanie i pozostają tylko puste, melodyjne dźwięki. Otwórzmy książkę na traf:

Och! serce podlata,
Bo piosnka tam kwili;
Och! dusza bogata.
Bo tęcza motyli!

Albo:

Smutno — pusto — piękne strony
Kraj kwitnący, a zielony
Trzody błądzą wśród ugorów.

Więc nie „pusto" — a dlaczego „smutno," kiedy „kraj kwitnący" i „strony piękne?"

Porównania i przenośnie Zaleskiego nie są nigdy prawie barwne, świeże, logicznie rozprowadzone. Pisze on bez skrupułu:

Snuł przezroczystą, świecącą przypowieść,
Która jak woda rąbkiem przyobleka
Tajone, duszne(?) nagości człowieka (??).

Bo autor *Rusałek* nie jest poetą barw, ale poetą dźwięku. Najulubieńszą jego formą są krótkie, żwawe wiersze, w których doskonale odbija się takt muzyczny, ale żadne uczucie, żaden obraz poetyczny rozwinąć się nie da. Nieraz przypuszczaćby można, że Zaleski, biorąc pióro do ręki, ma w głowie gotowy tylko rytm, pod który dopiero później jakąkolwiek treść podkłada. Tworzy tak, jak kompozytor, ale nie jak pisarz.

Ile razy wszakże usnuje sobie jakiś wątek poetyczny, wyśpiewa go prześlicznie. Niektóre z jego liryk mają wdzięk niewysłowiony, jakiś czar dziwny, jemu tylko właściwy. Przytoczymy parę wyjątków z wiersza „Rusałka:"

Hej! ptaszki z gniazdek — z gniazdek wy śpiochy,
Czas to się przecie rozruchać trochy:
Strójcie no głoski! Ranne ja ptaszę,
Ja tu najprędzej na gody nasze!

Cyt — cyt — słowiku ze smutkiem swoim!
Niechno się wszyscy zbierzem, nastroim;
Za mną — ho razem — jak zakochani
Nuż na dzień dobry królowej pani.

Przybiega rusałka i zanurza się w wodę:

Cyt — cyt! Czy woda o ciałko pluska?
Czy to rozbrzmienie na wiatr całuska?
Pewnie to ku nam, rada z piosenki,
Rączką od ustek dzwoni na dzięki.
Żeby to podejść — podleść z ostrożna...
Żeby co widzieć — coś widzieć można...
Świecąż się ślicznie dwie gwiazdki oczu,
Lecz z po za rąbka, niby w omroczu.

Znikła — a poeta kończy:

Zaczarowanež Limanu źródło!
Blada mi odtąd! W głowie mej młodo —
Młodo, zielono, jako na łące,
I lśnią motylki wciąż swawolące.
Lata po lecłech zawsze ja swoje!
Moją skrzydlatą Rusałkę roję,
Niby na jawie i niby we śnie,
Wiecznie się ku niej składam obleśnie.

W wierszu tym mamy obraz jasny i skończony, co u Zaleskiego nie jest wypadkiem zwykłym. W porównaniu w Mickiewiczem, Ujejskim, lub też lirykami nowszymi, którzy nawet w najdrobniejszych utworach przedstawiają jakąś zamkniętą osnowę, śpiewak ukraiński, dbały przedewszystkiem o formę, o melodyjność języka, wydaje się niższym. Można ułożyć długi szereg z jego dum lub szumek, które wyglądają jak gdyby nieskończone. Czytamy np. długą opowieść u księżnej Hance, z dramatycznym wstępem i na końcu dowiadujemy się tylko, że była piękną, uwielbianą i miała czarne oczy. Nawet szersze osnowy rapsodów Zaleski ścieśniał do drobnych wątków lub wyśpiewywał ułamkowo („Damian“ itp.).

Ani tego rodzaju, ani tych przekonań poeci polscy już nie żyją i nie rodzą się. Zaleski tkwił we współczesności naszej jak klejnot przechowany z czasów, które już daleko od nas się odsunęły, których słabe echo zaledwie odbije się czasem o życie dzisiejsze. Liczył też ów Bojan polski już lat 84, gdy mu śmierć kazała ledz, ale nie w tej ziemi, którą kochał i opiewał. Pomimo sędziwego wieku nie brakłoby mu jeszcze sił do tworzenia, gdyby świadomie lub bezwiednie nie czuł, że już licznych i odpowiednio nastrojonych słuchaczów nie znajdzie. Naród ciągle czcił swego pieśniarza i nie zacierał nad jego głową nimbusu sławy; ale szukając natchnień i balsamów w poezyi, oglądał się za innymi, którzy lepiej znali jego potrzeby, tęsknoty i smutki. Co śród potarganych stosunków, silnych wstrząśnień, grzmotów i błyskania, co śród pękania więzów społecznych, wrzawy, gwaru, ryku mógł robić Zaleski? Podczas burzy skowronki milkną i kryją się — nie dla ich śpiewu ta pora. Nawet w brzmiącym obecnie chaosie głosów małoruskich i słowiańskich nie mógł on podnieść swego, on, który zaledwie umiał chwalić Boga za — nawrócenie się bułgarów.

Piosnka? Hej, chwilka!
Chwilek tych kilka
To rdzeń chwały
Na wiek cały.

Taką chwałę Zaleski zdobył i rzeczywiście na nią zasłużył. Nikt zaś lepiej nie określił jego muzy, jak on sam w tym niezmiernie trafnym dwuwierszu:

Niech co chcą i z orkiestrą grzmią muzykotwórce,
Ja *ditto* bez zachodu wygram na bandurce.

Istotnie, był to poeta bandurki, wygrywający na niej to samo, co inni „z orkiestrą.“

H.

LITERATURA POWIEŚCIOWA FRANCUSKA.

Paryż, 27 marca.

L'Oeuvre Zoli i *Crime d'amour* Bourgeta. — Pessymizm i mistycyzm.

Powieść, narówni z innemi gałęziami piśmiennictwa, zajmującemi się człowiekiem, uległa gruntownej przemianie. Rozwój poglądów zasadniczych i metody w biologii, psychologii, socyologii, w naukach społecznych, historyi, estetyce... odbił się i na niej. W epoce romantyzmu powieść była utworem fantazyi, fantastycznemi atoli były podówczas zarówno: filozoficzno-psychologiczne rozmyślania, dyalektyczne systemy prawa i ekonomii politycznej, uogólnienia wreszcie i wątki historyczne. Dziś — inaczej. Powieść, według trafnego wyrażenia Edmunda Goncourta, stała się historyą ludzi, którzy nie mają historyi. Jako nauka ludzkiego życia ma ona swój zakres specyalny, bada i opisuje człowieka jako całość psychiczną w różnych przejawach jego osobistego i towarzyskiego pożycia, a na tem bogatem i wdzięcznem polu nie ma współzawodnika. To zaś, że oparta na spostrzeżeniach bezpośrednich i danych, jakich jej dostarczają nauki, udziela jeszcze miejsca syntetycznej wyobraźni i przybiera się w szatę estetyczną — nie ujmuje jej to wcale naukowego charakteru. Czyż wyobraźnia i forma artystyczna nie grają ważnej roli i w innych gałęziach wiedzy?

Zmiana ta w charakterze powieściopisarstwa najwcześniej zaznaczyła się we Francyi, w szkole realistyczno-naturalistycznej i tu się najpełniej rozwinęła. Utwory Goncourtów, Zoli, Daudeta, Flauberta i tylu innych pisarzy tego kierunku są, niezależnie od swej formy artystycznej, studyami psychologiczno-społecznemi.

Z dwoma właśnie najnowszymi okazami tego nowego powieściopisarstwa postaram się zapoznać bliżej czytelników.

Pierwszeństwo należy się najnowszej powieści Zoli, którą ukończył wczoraj paryski *Gil Blas*. Nosi ona tytuł *L' Oeuvre* „Dzieło.“ Autor, jak już o tem dawniej wspominałem, starał się w niej nakreślić historyę artysty i obrazu, któremu on całe swe życie poświęcił i umarł niedokonawszy dzieła. Bohater jest geniuszem, który toruje nowe drogi w sztuce, otacza go zaś całe grono młodych nowatorów, wnoszących te właśnie nowe idee w różne dziedziny pracy twórczej. W grupie też przedstawił Zola początki realistycznego zwrotu we Francyi za drugiego cesarstwa. Klaudyusz Lantier (brat Stefana Lantier w *Germinalu*), artysta-malarz, będący tu postacią główną jest prawie sportretowanym, zmarłym już dziś malarzem Manetem, który dał początek we Francyi szkole „impresyonistów,“ inaczej zwanych szkołą wolnego powietrza, *l'école de plain air.* W osobie znów przyjaciela Klaudyusza, powieściopisarza Sandoza, Zola sportretował samego siebie. Istotnie też blizkie związki przyjaźni łączyły go z Manetem. Klaudyusz Lantier, równie jak jego pierwowzór, umiera młodo, nie pozostawiwszy żadnego skończonego arcydzieła. Zabija go ogromny wysiłek, jakiego potrzebuje wszelka nowo podjęta idea, spotykająca przy tem piętrzące się zewsząd przeszkody. Lantier reprezentuje w całej czystości typ nowatora, niewchodzącego w żadne układy ze szkołą dawniejszą i otoczeniem. To go właśnie przygniata. Nie sama przytem sztuka wypełnia jego życie. Kocha on kobietę, Krystynę, która następnie zostaje jego małżonką. Miłość ta walczy w nim z zamiłowaniem dla sztuki, co przyczynia się jeszcze bardziej do tragicznego rozwiązania. Klaudyusz atoli upada, nie stworzywszy nic wielkiego, nie dlatego tylko, że był geniuszem, torującym nowe ścieżki, lecz dlatego, że nowy ten kierunek nie skrystalizował się w nim jeszcze ostatecznie, że pozostały w nim resztki dawnych poglądów, zamącających nowe wyobrażenia.

Przysłuchajmy się zresztą rozmowie Zoli-Sandoza z malarzem Bongrand, jedynym przyjacielem Klaudyusza i starszego pokolenia. Bongrand pojmował nowatora i sympatyzował z jego dążeniami. Z całego grona dawnych przyjaciół oni dwaj tylko idą za trumną zmarłego artysty. Sandoz wyraża przekonanie, że musi się narodzić nowy człowiek, który doprowadzi lepiej i skuteczniej do końca dzieło, rozpoczęte przez zmarłego.

— „Kto wie? nie zawsze tak bywa! — odpowiada Bongrand. — Życie zna także poronienia. Co do mnie, jestem zrozpaczony. Smutek mnie przygniata i czuję, że wszystko wokoło pada w gruzy. Ach, tak! powietrze epoki jest niezdrowem; ten koniec stulecia, zawalony ruinami, zionie śmiercią. Czyż można czuć się dobrze w takiem otoczeniu? Nerwy się rwą, ogarnia nas zdenerwowanie, sztuka się mąci... Nad temi zwaliskami unosi się zgiełkliwy gwar polemiczny. Nigdy tak zawzięcie nie spierano się i nigdy nie widziano tak mętnie, jak od chwili, kiedy powzięto pretensyę poznania wszystkiego.

— Było to koniecznem — mówi półgłosem Sandoz. — Ten nadmiar czynności i zbytek zaufania do wiedzy musiał nas zepchnąć w zwątpienie; wiek ten, który tyle już rozjaśnił, musi się kończyć pod grozą nowej fali pomroku. Tak jest, nasz rozstrój stąd pochodzi. Za wiele obiecywano, za wiele się spodziewano; oczekiwano ostatecznego zwycięstwa i wyjaśnienia wszystkiego — zniecierpliwieni dziś szemrzą. Jakto, dlaczegóż nie idziemy naprzód dość szybko! Nauka po stu latach nie dała nam jeszcze zupełnej pewności i doskonałego szczęścia... Wyradza się tedy zwątpienie. Pesymizm rozrywa nam wnętrzności, mistycyzm zaciemnia mózgi; nadaremnie odpędzamy widziadła wielkimi rzutami analitycznego światła, nadprzyrodzoność rozpoczęła znowu atak; duch legend buntuje się i chce nas podbić na nowo, korzystając z chwilowego naszego wyczerpania i zmęczenia. Nie chcę nic twierdzić stanowczego, sam bowiem czuję się rozdartym, zdaje mi się jednak, że ostatnia ta konwulsya starego obłędu religijnego była do przewidzenia. Nie jesteśmy końcem, lecz fazą przejściową, początkiem czegoś nowego... To mnie uspokaja, sprawia mi przyjemność to przekonanie, że idziemy naprzód ku rozumowi i pewności wiedzy... Oby tylko — dodaje — szaleństwo wszystkich nas nie zepchnęło w otchłań i żebyśmy nie upadli wszyscy zgnieceni przez ideał, jak ten stary towarzysz, który tam oto śpi...“

Ustęp ten malu je nam dobrze obecny nastrój wybitniejszych umysłów w społeczeństwie francuskiem. Bohater *Dzieła* upada właśnie zduszony przez dawny ideał, jako człowiek przejściowy. Inni z młodego grona idą na marne, lub wchodzą w układy.

Dla uzupełnienia przytaczamy jeszcze ciekawy ustęp, w którym Sandoz-Zola wyjaśnia nam genezę Rougon-Macquartów, własnej powieściowej epopei.

— „Chodzi mi o to — mówi w toku przyjacielskich wynurzeń — ażeby zbadać człowieka takim, jakim jest, nietylko część jego metafizyczną, lecz człowieka fizyologicznego, uwarunkowanego otoczeniem, działającego pod wpływem wszystkich swych organów... Czyż nie jest farsą to ciągłe i wyłączne badanie objawów mózgowych, pod pozorem, że mózg jest jedynym, szlachetnym organem? Myśl i ciągle myśl! Na Boga! myśl jest produktem całego organizmu. Każcie działać mózgowi samemu, zobaczcie, czem stanie się ta jego

szlachetność mózgu, gdy żołądek jest rozstrojony. Nie, jest to głupota. Ani filozofia, ani nauka nie zmusza nas do tego. Jesteśmy pozytywistami, ewolucyonistami, a tymczasem hodujemy jeszcze literackiego manekina z czasów klasycznych... Kto wymawia słowo psychologia jest zdrajcą. Zresztą, fizyologia, psychologia nie ma tu żadnego znaczenia, jedna przeniknęła drugą, w rezultacie zaś mamy człowieka całkowitego. W tem leży właśnie formuła, nasza społeczna — rewolucya nie ma innej podstawy; jest to konieczna śmierć starego społeczeństwa i narodzenie się nowego. Literatura idzie w te ślady; zobaczymy tę nową sztukę, która skiełkuje w wieku przyszłym z ziarn rzuconych przez naukę, na gruncie uprawionym przez demokracyę... Chcę tedy — powiada — wziąć pewną rodzinę, zbadać jej członków po kolei, zobaczyć skąd wychodzą i dokąd dążą, jak oddziaływają na siebie, słowem ludzkość w małych rozmiarach. Następnie umieszczę mych poczciwców w okresie historycznym zakończonym, da mi to otoczenie, kawałek historyi itd..."

W ostatniej swej powieści *Un crime d'amour* (zbrodnia miłości) poruszył Bourget nie starzejącą się nigdy sprawę miłości wobec tych powikłań, jakie wytwarzają dzisiejsze stosunki towarzyskie. Bohaterem jest niejaki Armand de Querne, człowiek wykształcony, przepędzający zresztą życie na zjadaniu 30,000 fr. rocznej odziedziczonej renty i łatwych stosunków z kobietami. Powieść bierze go w chwili, kiedy bohater dochodzi czterdziestki. Do Paryża w owym czasie sprowadza się szkolny jego kolega i przyjaciel Alfred Chazel, zamężny od lat kilku z kobietą niezwykłej piękności. Alfred, matematyk z zawodu, „zrodzony dla studyów, długich, powolnych refleksyj i pracy niczem niezamąconej," mimo swej gorącej miłości dla żony, nie umiał pozyskać jej przywiązania. Był człowiekiem skromnym, niezgrabnym i zamkniętym w sobie, nie umiał więc ujawnić nawet swych uczuć. Armand przeciwnie, mimo próżni wewnętrznej i przesytu olśniewa wytwornem ułożeniem, inteligencyą i tym podobnemi zaletami. Zajęty jest zresztą wyłącznie uwodzeniem kobiet — ma więc w tym zawodzie wiele wprawy. Helena spragniona wielkiej, głębokiej miłości bierze pozory za rzeczywistość i zostaje jego kochanką. Niebawem zresztą przekonywa się, że Armand uważa tę miłość za nie pierwszy i nie ostatni kaprys z jej strony. Tymczasem Alfred żywiący początkowo bezgraniczne zaufanie dla żony swej i przyjaciela wpada na ślad pewnych podejrzeń i po długiej walce z sobą udaje się wprost do przyjaciela swego i kolegi z prośbą o dopomożenie mu w wyjaśnieniu dziwnego usposobienia żony, nad którem boleje od dawna. Mówi wreszcie otwarcie: Jeżeli Helena kocha kogokolwiek, usunę się, zabrawszy swego syna i postaram się zacząć życie na nowo. Pogardzam—powiada—mężami, którzy szukają zemsty. Mąż taki bowiem, albo nie kocha swej żony, a wtedy idzie tylko o pomszczenie próżności własnej, albo też kocha ją, a wtedy zrzec się jej winien dla jej własnego szczęścia. Zapytuje go wreszcie wprost, czy czasem on nie kocha Heleny, ciesząc się jej wzajemnością?

Armand daje przyjacielowi słowo honoru, że z małżonką jego łączy go jedynie związek życzliwej przyjaźni, co Alfred przyjmuje z zupełnem zaufaniem. Zwierzenia te jednak, dane słowo honoru dla niezdradzenia drugiej strony, upokarzają Armanda. Miał przed sobą przyjaciela, który położył w nim całe zaufanie, który żonę swą kocha aż do najszczytniejszego poświęcenia — on zaś robi sobie z tego stosunku niezaszczytną zabawkę. Postanawia tedy zerwać natychmiast poniżający go związek, w tem przekonaniu, że Helena jest również płochą tylko zalotnicą. Pisze tedy karteczkę do swej kochanki i wynurza jej otwarcie swój zamiar, dając przytem wyraźnie do zrozumienia, że nigdy jej na prawdę nie kochał i że ona także nie pierwszy z nim miała stosunek. Obiegały o tem plotki, którym Armand zbyt łatwo zawierzył. Wynurzenia te przyprowadzają do rozpaczy Helenę, która w miłość tę włożyła cały zasób bogatej swej dziewiczej natury. Oszalała z bólu i poniżenia, których sprawca, człowiek przez nią ukochany, mści się, oddając się przelotnie mężczyźnie, który — jak mówiono — był niegdyś jej kochankiem. O tym swoim upadku sama zresztą zawiadamia Armanda. Wtedy dopiero poznaje on, czem była dla niego miłość Heleny i jak niegodnie on, człowiek zdemoralizowany życiem i otoczeniem, miłość tę zaszargał. Uczuwa on wówczas, że budzi się w nim rzeczywista miłość ku zawiedzione. Wszystko już jednak skończone. Armand wyjeżdża do Anglii, Helena zaś zapada w chorobę, z której wychodzi wyniszczona, ze słowem poświęcenia na ustach dla syna i męża. Armand wraca po słowo przebaczenia, oboje zresztą żyją już nadal „religią ludzkiego cierpienia.

Jeszcze więc raz pessymistyczny mistycyzm unosi się po nad padołem żądz ludzkich. „Cała cywilizacya — powiada autor ustami swego bohatera — wydała mi się jedną wielką orgią, życie starciem sił ślepych i niszczących, zbiorowiskiem złych potęg, które się borykają brutalnie. Prostytucya u dołu, cudzołóstwo u góry — oto w co się obraca najszlachetniejsza z ludzkich uczuć — miłość."

Tło i wywody — jak widzimy — niewesołe. Co przytem stanowi charakterystyczną cechę tego pessymizmu, jaskrawiej występującego u Bourgeta, niż u Zoli, to brak w nim idei, indywidualnej i społecznej odpowiedzialności za popełniane zbrodnie i wykroczenia, a jednak w tej jednostkowej i zbiorowej poprawie szukaćby należało punktu wyjścia. Obrazby nie wyszedł tak czarny... Zapewne, autorowie jednak malują przedewszystkiem tło ogólne, a tło to jest czarnem, zorza zaś kryje się jeszcze daleko poza widnokręgiem. Noc i mistycyzm roztaczają tymczasem nad światem swe nietoperze skrzydła.

P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

(Veto Meletusów).

Sokratesów brak społeczeństwom często, Meletusów — nigdy. Ci nie wymierają, bo potrzeba tylko troszeczkę pleśni, ażeby się w niej natychmiast rozrodzili niezliczoną masą. Są to ludzie w każdym wymiarze mali — mali myślą i uczuciem, mali miłością i nienawiścią, ofiarą i zemstą, celami i dążeniami, każdym ruchem swego mózgu. Wielkie idee odbijają się w ich duszach, ale tak, jak słońce w odłamku stłuczonego zwierciadła. Na chwilę potężna siła wyrzuci ich w górę, gdzie błyszczą gładką powierzchnią, ale zaraz spadają na ziemię. Zdaje się czasem, że pojmują ważną sprawę, że zdolni walczyć za święte hasła; wkrótce wszakże zapał ich mdleje, nie może wytrzymać długiego natężenia i wraca do uległości pobudkom osobistym. Wtedy wdziewają czerwono lamowany strój „opinii" i jako jej posłańcy roznoszą plotki, marne intrygi, drobiazgi, rozdęte jak kolorowe baloniki i sprawiające radość dzieciom. Posiadają oni dziwny talent przerabiania wielkich rzeczy na małe, a małych na duże. Nadewszystko zaś lubią oskarżać, oskarżać kogokolwiek i o cokolwiek, zwłaszcza zaś każdego, kto ich bodaj całem przerósł.

Tym to Meletusom my zawdzięczamy proces z p. Śnieżko-Zapolską, prasa — przykład dochodzenia pretensyi literackiej drogą sądową, a publiczność — wzniosły widok autorów polskich, domagających się surowej kary na redaktora i jego współpracownika za — krytykę.

Bez tego ukrytego za kulisami chóru, ani my, ani nasi czytelnicy nie zrozumieliby: czemu spór w istocie drobny tak rozciągnął się od twierdzy magdeburskiej aż do sądu warszawskiego, czemu przez sześć miesięcy zajmował uwagę publiczną, czemu zbudził tyle namiętności, czemu dotąd tli się, czemu jego zarzewie będzie niezawodnie przechowane dla nowych podmuchów? Wszakże większa część redaktorów warszawskich pozywana była o potwarz, wszakże autorki nasze ulegały bardzo gwałtownym napaściom, wszakże najostrzejsze starcia literackie ograniczały się zawsze do bezpośrednich przeciwników — czemuż nigdy nie nadawano tego rodzaju wypadkom takiego rozgłosu, czemuż nigdy nie zagarniano ze współpracownikami redaktorów? Gdy przed kilkunastu laty jedna z gazet boleśnie oskalpowała pewną autorkę, polemizowano tylko z krytykiem i nie wniesiono skargi do sądu. Gdy niedawno inny dziennik w Poznaniu ciężko znieważył wydawcę jednego z naszych *Kuryerów*, obrażony zażądał satysfakcyi od korespondenta, a dopiero, gdy kryptonimu nie chciano zdemaskować, od redaktora. Postępowanie to bardzo naturalne, gdyż współpracownicy redaktora nie są ani jego służbą, ani małoletnimi wychowańcami, lecz ludźmi dojrzałymi, odpowiedzialnymi za własne przekonania. Czemuż nie przyznano im tych przywilejów w *Prawdzie*? Czemu poważono się nawet zaprzeczać niepodległości zdania p. Popławskiemu? Wszystkie te zagadki byłyby nierozwiązalne, gdybyśmy nie pamiętali, że Meletusi są i kim są.

Nie jestem Sokratesem i żadnego z moich Meletusów do nieśmiertelności nie przeniosę, bo sam do niej nie dojdę, ale ich mam. Jeżeli więc wytoczono proces literacki, jeżeli do niego wciągnięto i mnie, jeżeli nawet ja byłem główną tarczą dla pocisków oskarżenia, to wynikło stąd, że przepełnione torebki żółciowe potrzebowały jakiejkolwiek sposobności do upustu. Czy p. Popławskiego również to spotka— nie wiem, ale co do siebie najmocniej wierzę, że gdyby przyjechał do mojego domu cioteczny dziadek, zamówił buty, a dostawszy zbyt ciasne, nie chciał za nie zapłacić i pozwany został przez szewca, moi Meletusi poradziliby mu, ażeby mnie łącznie zaskarżył.

Ale może istotnie popełniono w moim domu, w mojem piśmie wielką zbrodnię? Nie będę przypominał zniewag uczynionych autorkom gdzieindziej, puszczonych bez protestów i pozwów; nie będę oświetlał strony prawnej sporu, którą znakomicie rozjaśnił obrońca nasz p. Szyff; zapytam tylko, czy literatce, która chwyciła się aż pod opiekę sądu, odmówiono możności odparcia zarzutów na właściwem polu? Czy ona przysłała do *Prawdy* replikę? Czy, pominąwszy to pole walki, stanęła przed trybunałem państwowym z jakąś garścią błota, które każdy błotem nazywa, z jakimś kamieniem, który niewątpliwie rani? Bynajmniej. Przyniosła ona kropelkę gryzącego potażu, który musiano aż przyprawiać dodatkami, ażeby z niego zrobić coś, co „obraża cześć kobiecą." Krytyk nazwał ją „romantyczką — romansową — z rozkiełznaną wyobraźnią," posądził o kreślenie myśli i wypadków „przeżytych." To było owem strasznem „corpus delicti," o którem kronikarz *Kuryera codz.* powiedział, że nie można powieściopisarce przyznać nic — pochlebniejszego. Przypuśćmy wszakże, że ona to zrozumiała inaczej. Do-

brze. Hektor nazwał mężnego Achillesa zającem. Obrażony wódz greków wyzwał go; czy domagałby się pojedynku, gdyby trojańczyk oświadczył, że nazywając Achillesa zającem, miał na myśli jego szybkość w biegu? Nie— ale—jeśliby nie słuchał Meletusów. Daremnie p. Popławski zapewniał, że o życiu autorki nic nie wie, że opiera się na własnych jej słowach — p. Śnieżko była obraźliwszą niż Achilles, bo tak chcieli Meletusi.

Krytyk posądził ją o „przeróbki;“ to było za słabe — wyszrubowano „plagiat.“ Ani na język, ani na pióro niechętnie władził wyraz pierwszy, natomiast cisnął się drugi. Zdawało się, że słyszymy szept rozpaczliwy: królestwo za pieprzną obelgę — a pieprznej obelgi nie było, pomimo badań mikroskopowych nad słowami recenzyi, pomimo analiz z najczulszymi odczynnikami etyki i prawa. Stała czarno na białem wydrukowana „przeróbka“ i nic więcej. Co do jednej powiastki p. P. powtórzył ten zarzut za innymi, co do drugiej — zawierzył własnej pamięci. Czy ona go w szczegółach nie zawiodła, czy wspomnienia mu się nie zmieszały, czy dostrzegłszy w pomysłach pani Zapolskiej pewne pokrewieństwa z cudzymi, nie powinien był poprzestać na ogólnikowem zaznaczeniu braku oryginalności i pożyczki tematu—to są kwestye, które możnaby nawet rozstrzygnąć uznaniem omyłki ze strony krytyka, ale to nie są kwestye, które by należało rozstrzygać w sądzie państwowym. Shakespeare brał tematy gotowe — każdy powieściopisarz historyczny „przerabia.“ O ile wszakże zarzut podobny ma dla autorki wagę i może jej sprawiać przykrość, o ile jej chęć obalenia go jest naturalną, o tyle bez uprzytomnienia sobie natury meletusowstwa trudno pojąć roznamiętnianie się ludzi, po za sporem stojących, sprawą: czy powiastka p. Śnieżko Zapolskiej „Gdybyś ożyła!“, jest „przeróbką,“ czy też nie. Jakaż to wzniosła idea, jakie to hasło do walki!

Przyznanie komuś słuszności nie kosztowało mnie nigdy więcej, jak przyznanie się do liczby przeżytych lat. Pod groźbą wszakże nie powiem napastnikowi nawet, jak się nazywam. P. Śnieżko-Zapolska, czy też Meletusi, wniósłszy skargę do sądu, uniemożliwili nam wszelki literacki rozbiór jej pretensyi. Cokolwiek bowiem rzeklibyśmy na jej korzyść, byłoby wytłomaczone jako objaw bojaźni. Dziś gdy sąd stracha na wróble wywrócił i wyrokiem swoim dał skardze stanowczą odprawę, możemy mówić swobodnie. Jeżeli autorka *Akwarel* i walczący za nią Meletusi przypuszczali, że z tego wyroku ukujemy przeciw niej nowy grot— to się grubo omylili. Wogóle przyznajcie, że cała spekulacya fatalnie ich zawiodła. Nabili mizerny klucz mocnym ładunkiem, włożyli go do rąk niedoświadczonej i nierozważnej kobiecie, kazali jej przyłożyć do prochu zapałkę i ku nam wymierzyć. Nabój dziurkę klucza rozerwał i strzelającą osmalił a w nas nie ugodził. Oprócz tej krzywdy osobistej, wyrządzili oni ogólną, zrobili niesumienny zamach na ograniczoną swobodę słowa, zarazili literaturę naszą przykładem przenoszenia sporów literackich na pole kryminałów. W naszym procesie sąd nie dał się uwieść sztucznym pozorom skłamanej krzywdy, ale czy on zawsze będzie mógł lub chciał odtrącić pieniackie skargi? Z każdego artykułu dziennikarskiego da się wydrążyć przestępstwo, z dosadnego wyrazu — obelga lub dyfamacya. Przed kilku dniami Prus napisał „naturalistyczną kronikę,“ w której opowiada, że pewien król murzyński, wzywa telegrafem dwu naszych podróżników, ażeby powrócili, gdyż on ma już 100 lat a jego żony od wyjazdu białych—dzieci nie rodzą i buntują się. Przy dobrej chęci — pyszny materyał do procesu o potwarz!

Ale nie przerażajcie się czytelnicy obawą rozkwitu polemiki w sądach karnych. Nie każdemu los dał Meletusów. Gdy Łam unurzał p. Śnieżko - Zapolską — ludzie śmieli się, nikt o procesie nie myślał, a dwunożne „opinie“ i „całe Warszawy“ nie próbowały nawet „oburzać się.“ My dopiero wprawiliśmy je w ruch. Trzeba było widzieć, jak te „opinie“ i „całe Warszawy“ uwijały się, nurkowały, z jakiem nabożeństwem wznosiły wzrok ku artykułom Kodeksu karnego, jaką boleść uczuły w zawodzie, jaką rozkosz sprawia im dotąd myśl: gdyby tak sąd skazał... Spełnione marzenie Kościuszki nie zapewniłoby im większego szczęścia.

Do tego jest człowiek zdolnym, kiedy jest małym. Straszny rodzaj! *).

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jeszcze jeden kwestyonaryusz. — Sprawa, którą trzeba wyświetlić. — Metoda hrubieszowska leczenia wścieklizny. — Lublinianki. — Wystawa. — Spóźniona odpowiedź. — Dobry rezultat złej rzeczy i zły jej rezultat.

Jeszcze jeden, ale — zdaje się — najciekawszy... kwestyonaryusz. Kilku adwokatów warszawskich opracowało szereg pytań; odpowiedzi na nie posłużyć mają do ułożenia zasad etyki obrończej. Kwestyonaryusz ten ogłosiła *Gazeta sądowa*, wzywając wszystkich obrońców miejscowych i prowincyonalnych do nadsyłania swych uwag. Wiedzieliśmy, że w Królestwie Danów coś się popsuło, ale nie spodziewaliśmy się, że jest tak źle. Jeżeli wolno pytać się: czy godziwem jest udzielanie podsądnemu wskazówek, dążących do zaciemnienia prawdy, czy adwokat może przyjmować udział w czynnościach, skierowanych na obejście praw osób trzecich, czy usprawiedliwionymi są wykręty proceduralne, czy wolno dotykać spraw osobistych przeciwnika, wyznania jego, zmyślać fakty, zwalać winę na współoskarżonego bez potrzeby i dowodów, wpływać na sędziów itp. — to cóż mówić o etyce ludzi, dla których kwestye tego rodzaju mogą być jeszcze wątpliwemi. Są to wykroczenia niezaprzeczone, ale jeżeli nie wszystkie, to niektóre z nich w pewnych okolicznościach nie będą występnemi, co zresztą stosuje się do wszystkich prawie czynów ludzkich. Okoliczności tych żadne przepisy formalne określić nie potrafią, projektowana zaś etyka obrończa jest na wskróś formalną, kazuistyczną i nie może być inną. Niektóre pytania służyć mogą za wzór prawdziwie chińskiego formalizmu — np. jaki powinien być ubiór obrońcy, jak należy przemawiać do kolegów starszych i młodszych i t. p. Kwestyonaryusz zapytuje nawet: jak należy traktować dependentów? Szkoda, że dla dokładności nie zapytano jeszcze: czy można oszukiwać klientów, fałszować dokumenty, przywłaszczać wyegzekwowane sumy lub bić interesantów.

Wszystkie te etyki specyalne są tylko wstrętnem i szkodliwem moralnie i społecznie uprawnieniem samolubstwa korporacyjnego. Dziś już w imię zasad swojej etyki lekarze, którzy biorą za wizytę rubla lub więcej, potępiają kolegów za to, że udzielają porady niezamożnym po 25 kopiejek. Pp. adwokaci nie pozostają w tyle, ale pytają także, czy można podejmować się sprawy cywilnej przeciw koledze, lub czy można mu w imieniu klienta wytaczać proces karny. Gdyby odpowiedź brzmiała, że nie wypada, obrońcy wytworzyliby w społeczeństwie klasę wolną od wszelkich zobowiązań i wszelkiej odpowiedzialności. Zasady etyki ogólnej powinny wystarczyć adwokatom, jak wystarczają ludziom innych zajęć, którzy oddzielnych kodeksów moralności dla siebie nie tworzą. Każda korporacya, posiadająca odgraniczone pole działania, wyrabia sobie pewną etykę profesyonalną, która wszakże nie może być obowiązującą, ani też samodzielną i przepisy jej podlegać i stosować się muszą do ogólnych zasad moralności. Kwestyonaryusz stwierdza tylko, że poziom etyczny stanu obrończego stoi nizko, jeżeli najprostsze wymagania uczciwości i przyzwoitości podlegać mają rozstrzyganiu przez głosowanie. Żadne przepisy formalne poziomu tego nie podniosą, jak nie nakażą ludziom szacunku i uznania dla adwokatów, jeżeli ci, chociażby zgodnie z etyką własną, ale wbrew zasadom moralnym ogółu, postępować będą.

Istnieje przecie u nas osobna etyka szlachecka, która posiada jeszcze spory zastęp wyznawców. Jest ona bardzo łaskawą dla ludzi „dobrze urodzonych“ i rozgrzesza ich z pewnych, delikatnie mówiąc, „niedokładności“ moralnych, popełnionych względem „źle urodzonych.“ Ale nie sądzę, żeby znalazł się szlachcic uczciwy, któryby nie potępił oszustwa, chociażby przedmiotem jego był chłop lub żyd. Dlatego też nie podaję na pewno, ale zaznaczam wiadomość, zamieszczoną w *Warszaw. Dnienniku*, że w okolicach Puław obywatel ziemski umówił się z włościanami o sprzedaż majątku, wziął od nich zadatek, kiedy zaś znalazł lepszego kupca, a nabywcy nie chcieli zrzec się dobrowolnie umowy, zerwał ją i zadatek zaparł. Fakt zupełnie możliwy, ale nieprawdopodobną wydaje się ta okoliczność, żeby opinia publiczna pochwaliła postępek oszusta lub nawet przyjęła go obojętnie. Korespondent zwraca się do pism polskich codziennych z prośbą o powtórzenie tej wiadomości, sądząc, że może opisanie faktu skłoni owego obywatela bądź bezpośrednio, bądź pod naciskiem opinii publicznej do naprawienia krzywdy. Chociaż wezwanie to do nas skierowanem nie było, powtarzamy je, gdyż przedewszystkiem należy wyjaśnić, czy fakt opisany istotnie zdarzył się, a jeżeli tak, czy o oszustwie tem ludzie wiedzą? Dopóki sprawa nie zostanie w ten lub inny sposób wyświetloną, wstrzymać się musimy od wszelkiego sądu, ale nie potrzeba chyba dodawać, że w danym wypadku bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy zbadać stan rzeczy i śmiało ogłosić prawdę.

Czytelnicy nasi pamiętają owych włościan hrubieszowskich, pokąsanych przez psa wściekłego, którym Pasteur ofiarował nietylko bezpłatną kuracyę w Paryżu, ale nawet zobowiązał się zwrócić koszta podróży, który jednak do Paryża nie pojechali. Obecnie *Gazeta lubelska* na podstawie raportu naczelnika powiatu, donosi, że dwóch tych biedaków umarło. Ale dla sławy powiatu hrubieszowskiego było tego zamało. Przed kilku tygodniami pokąsał znowu pies wściekły osiem osób we wsi Mołodiatyczach. Tych już nie próbowano nawet wyprawić do Pasteura, lecz postanowiono leczyć ich w domu sposobem hrubieszowskim, który polega na tem, że chorzy obowiązani są przychodzić raz na tydzień do lekarza szpitalnego, ten ich ogląda, konstatuje stan zdrowia i wyprawia napowrót do domu. Do szpitala pokąsanych nie przyjęto, ponieważ nie mają środków na opłacenie kosztu kuracyi, co tydzień więc biedacy muszą odbywać podróż pod groźbą odpowiedzialności za nieposłuszeństwo. Podówczas gdy z Odessy, Smoleńska, gubernii włodzimierskiej i innych miejsco-

---

*) Kto nie wierzy, niech zobaczy nową odmianę „kobiety z wężem,“ czyli: „p. Zapolska i p. Świętochowski“ w *Dzienniku dla wszystkich*, gdzie jakiś skunks ostrzykuje nas swą wonną złością. A jak ostrzykuje!

wości Rosyi wysyłają chorych do Paryża, u nas stosuje się własna metoda leczenia, która jednak, o ile z dotychczasowych rezultatów sądzić można, nie wytrzymuje porównania z Pasteurowską. Ciekawa rzecz, ilu z tych nieszczęśliwych umrze znowu i czy nawet po ich śmierci hrubieszowska metoda leczenia ulegnie zmianie.

Spodziewam się, że zanim to nastąpi młode lublinianki, które udają się w tym roku na uniwersytet do Paryża, otrzymają dyplomy doktorskie i przywiozą może wiadomość dokładną o szczepieniu wścieklizny. Ale *à propos* szczepienia, zapytać się należy, kto też zaszczepił pięknym lublinianom chęć do nauki? Juścić chyba nie przedstawiciele miejscowej inteligencyi, którzy lękają się nawet odczytów z fizyki, bo to, panie, materyalizmem trąci, pisma postępowe trzymają w szufladce od biurka i wielbią rodzime cnoty niewiast polskich. Nie wiem, jakimi manowcami przekradał się do Lublina bezbożny duch czasu i w jaki sposób bałamucił młode panienki, ale przyznać muszę, że może pochlubić się ten lowelas ładnym tryumfem. Długo opierało się bogobojne miasto „szkodliwym prądom," wreszcie uległo i na zakład posłuszeństwa oddało aż pięć przyszłych studentek. Bodajby przykład ten oddziałał i na inne prowincyonalne miasta i wywołał szlachetne współzawodnictwo. Kiedy mieć będziemy rozumne i prawdziwie wykształcone kobiety, może doczekamy się też z biegiem czasu i rozumnych mężczyzn, których dziś tak jeszcze niewielu mamy.

Lublin wszelkimi sposobami stara się zasłużyć na miano drugiego miasta po Warszawie, więc też oprócz własnego teatru i własnych studentek pragnie urządzić jeszcze własną wystawę. Inicyatorowie tego pomysłu spodziewają się uzyskać pozwolenie, ponieważ ministeryum w cyrkularzu rozesłanym do gubernatorów oświadcza, że wystawy gubernialne bardzo są pożądane. Na wystawie lubelskiej znajdować się mają płody rolnicze, inwentarz i wyroby przemysłu, zwłaszcza drobnego. Na ten ostatni dział należałoby zwrócić szczególniejszą uwagę. Mówiliśmy już niejednokrotnie, że wystawy prowincyonalne większy przynoszą pożytek, aniżeli ogólna wystawa w Warszawie, nie będziemy więc powtarzali dawnych argumentów. Ale ponieważ nie chodzi tu o popis, lecz o poglądowe przedstawienie produkcyi miejscowej i jej warunków, okazy powinny być niekoniecznie wzorowe, ale jak najbardziej liczne i typowe. O produkcyi fabrycznej np. równie dobrze wiedzieć możemy i bez wystawy, przedewszystkiem zaś postarać się należy, żeby przemysł domowy, wiejski reprezentowany był jak najzupełniej, tutaj bowiem nastręcza się jedyna prawie sposobność do zbadania tej nieznanej strony naszego życia ekonomicznego. Niech więc organizatorzy wystawy lubelskiej nie troszczą się o to, żeby miała ona jak najwięcej działów i obejmowała koniecznie wszystkie rodzaje produkcyi miejscowej, owszem, niech rozwiną raczej szeroko jeden dział specyalny, a wtedy zamiast próżnego popisu stworzą rzecz istotnie pożyteczną.

Jeszcze jedna uwaga. Jeżeli wystawa ma nosić charakter rolniczy, to nie należy urządzać jej w czerwcu, jak do tego zachęca p. K. H. w *Gazecie lubelskiej*, ale w końcu sierpnia lub we wrześniu, bo dla oceny płodów rolniczych wtedy dopiero jest właściwa pora. Nie potrzeba zresztą spieszyć się zbytecznie, lepiej poczekać parę miesięcy, ale przygotować się właściwie.

Byle tylko nie wpaść znowu w drugą ostateczność, jak np. sekcya rolnicza oddziału łódzkiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, której członkowie teraz dopiero przypomnieli sobie, że oddział warszawski rozesłał kiedyś tam jakiś kwestyonaryusz dla zbadania potrzeb rolnictwa krajowego. A no, lepiej późno, niż nigdy — pomyśleli sobie gorliwi członkowie, zebrali się więc na posiedzenie i postanowili w blizkiej przyszłości opracować odpowiedź. Szanowni rolnicy z okolic Łodzi nie wiedzą zapewne, że już wyszło z druku sprawozdanie z nadesłanych odpowiedzi, że na podstawie ich opracowano szereg wniosków, które przedstawiono specyalnie utworzonej delegacyi rolniczej itd. itd. Po cóż więc ta łódzka musztarda po objedzie?

Ostatni ukaz, ograniczający prawa polaków i żydów wytworzył nowy rodzaj dzierżaw. Majątki biorą w arendę włościanie, ale nie częściowo, tylko w całości, gospodarując wspólnemi siłami.

Na Ukrainie w ten sposób dzierżawią chłopi kilkanaście majątków. O takim samym fakcie piszą *Wiekowi* z powiatu sokólskiego w gub. grodzieńskiej. Włościanie—mazury z parafij Suchowolskiej i Korycińskiej chętnie tworzą spółki, złożone z kilkunastu uczestników i biorą w dzierżawę większe majątki. Te stowarzyszenia rolne prowadzą gospodarstwo bardzo pomyślnie. Wogóle w okolicy wspomnianej, wbrew twierdzeniu, że mazur jest zaciekłym indywidualistą, objawy zbiorowego działania trafiają się bardzo często. Spółki włościańskie kupują również lasy, wyrębują drzewo i spławiają je do Prus. O poczuciu łączności, panującem wśród ludności miejscowej świadczy również powodzenie, jakiem cieszą się sklepiki włościańskie (często także zakładane za wspólne pieniądze), które zwycięzko współzawodniczą z kramami żydowskimi.

Ograniczenie prawa dzierżawy majątków i wogóle ciężkie położenie własności większej dały się najdotkliwiej uczuć prywatnym oficyalistom. Podczas kontraktów w Kijowie roiły się tłumy szukających służby, bodajby za marne wynagrodzenie, a byli to najzamożniejsi, którzy mieli przynajmniej za co odbyć podróż. Jakie rozmiary przyjęło wydalanie oficyalistów, dosyć powiedzieć, że w dobrach hr. Branickich otrzymano 30,000 rs. oszczędności z powodu zmniejszenia liczby ekonomów, pisarzy, leśniczych itd. Cyfra tego proletaryatu zwiększy się jeszcze, bo spodziewanem jest zamknięcie aż dwunastu cukrowni. Wszyscy ci wyrzuceni na bruk ludzie, oprócz swoich specyalnych zajęć nie umieją niczego i niezdolni są nawet do innej pracy.

J. Nieborski.

LITERATURA W SĄDZIE

(streszczenie).

Dnia 9 b. m. w warszawskim sądzie okręgowym rozpoznawaną była skarga p. Śnieżko-Zapolskiej przeciwko redaktorowi *Prawdy* i jego współpracownikowi J. Popławskiemu o potwarz i dyfamacyę. Ze strony powódki stawił się adw. Pilecki, ze strony pozwanych adw. Szyff.

Pełnomocnik p. Zapolskiej w skardze podanej sądowi oświadcza, że w n-rze 35 *Prawdy* pomieszczony został artykuł p. t.: *Sztandar ze spódnicy*, w którym znajdują się aluzye do osoby autorki, oraz niesłuszny zarzut przeróbki dwóch utworów: *Małaszka* i *Gdybyś ożyła* z rosyjskiego i francuskiego, co uważać należy jako wykroczenie czysto karnej natury. Skarga początkowo skierowana była przeciw redaktorowi *Prawdy*, kiedy zaś autor zgłosił się dobrowolnie do sądu, p. Pilecki zmienił oskarżenie o tyle, że pozywając p. Popławskiego o dyfamacyę i potwarz z art. 1039 i 1535, żądał również skazania p. Świętochowskiego, jako redaktora pisma, na podstawie art. 1041 K. K.

Na posiedzeniu sądowem p. Pilecki rozwinął w długiej przemowie treść wniesionej poprzednio skargi, przytaczając ustępy artykułu i zapewniając, że zarzut plagiatu jest bezpodstawnym. Z zestawienia tych ustępów wywiódł on dowód świadomej winy nietylko współpracownika, ale i redaktora, który zna wagę podobnych zarzutów, czynionych autorkom, skoro jedną z nich dawniej energicznie bronił przeciwko krzywdzącym komentarzom. Pojedyńczemi wyrażeniami, całym tonem i duchem artykułu autor godzi w cześć kobiecą p. Zapolskiej. Nie stara się jej ocenić, ale zniesławić. Na poparcie posądzenia o przeróbki nie przedstawił nic, coby zarzut taki usprawiedliwiało. I przedstawić nie mógł, bo nim kierowała tylko zła wola. W konkluzyi pełnomocnik p. Śnieżko-Zapolskiej żądał surowej kary dla oskarżonych, nazywając ją pożądanym hamulcem na niepowściągliwość drukowanego słowa.

Adwokat Szyff, wykazawszy na wstępie swobodę, z jaką prawo pozwala każdemu wszczynać procesy o dyfamacyę i potwarz, stwierdziwszy ją na przykładzie poczerpniętym z najświeższej kroniki sądowej zagranicznej i przeciwstawiwszy ją rękojmiom ścisłego, przedwstępnego badania sądowego we wszelkich innych sprawach karnych, zwrócił uwagę na okoliczność, iż tylko dzięki pewnym brakom w ustawodawstwie u nas obowiązującem powódka mogła ściągnąć do sądu pozwanych i oskarżyć ich o dyfamacyę i potwarz w druku, wyraził wszakże przekonanie, iż sąd nietylko zarzucanej winy nie uzna, ale owszem, skargę pani Zapolskiej uzna za niesumienną i oddali, że jeśli kto, to niezawodnie autorka *Akwarel* nie może się czuć zniesławioną tem, co z powodu i na podstawie tej książki wyrzekła o niej *Prawda*.

Zaznaczywszy charakter sprawy, tak odmienny od innych, rozbieranych codziennie przez sąd, obrońca poczytał ją za rozrywkę dla sędziów i publiczności, stwierdził, że jest to pierwszy w Polsce proces o krytykę i prosił sąd, aby wyrokiem swym nie stworzył precedensu na przyszłość, a raczej, aby go stworzył: niech Sąd dowiedzie pani S. Z., iż nie jest areną dla starć literackich, wyrok zaś nie świadectwem uzdolnień i talentu.

Przedstawiwszy historyę faktu, różne fazy polemiki, wywołanej przez panią S. Z., zastanowił się nad powodami, które skłoniły ją do przeniesienia sporu z gruntu literackiego na sądowy i z szeregu postawionych przez siebie pytań wyprowadził wniosek, iż powódka wnosząc skargę, o ile nie działała z jednej strony samodzielnie, ulegając wpływom pobocznym, o tyle z drugiej, szukała w procesie reklamy i znalazła ją. Uzasadnienie takiego wniosku znalazł w tej części procesu, która poprzedziła wprowadzenie sprawy do Sądu okręgowego. U sędziego pokoju stawił się p. Popl. i oświadczył, iż jest autorem inkryminowanego artykułu. Pani Z. pociągnęła jego do odpowiedzialności, nie zwolniwszy z niej redaktora *Prawdy*, którego nazwisko w procesie niezbędnem było dla skuteczności reklamy.

Przeszedłszy do powództwa pani Z. i wskazawszy główne punkty oskarżenia, obrońca zaznaczył, iż zawiera ono dwa żądania, nie dające się z sobą pogodzić. Powódka dochodzi potwarzy a jednocześnie i przedewszystkiem dyfamacyi. Zestawiwszy odpowiednie przepisy kodeksowe, poparłszy je jurysprudencyą kasacyjnych departamentów Senatu, powołał się na zdanie Spasowicza, który tego rodzaju żądanie nazywa wprost *niedorzecznem*.

Przedstawiwszy w obszerniejszym ustępie pogląd swój na krytykę i krytyków, na ścieranie się różnych teoryj naukowych i literackich i czasowe zwycięstwa jednych nad drugiemi, zatrzymał się na dzisiejszej walce ustępującego z pola romantyzmu z naturalizmem i wskazał, iż nasza także literatura nieobcą jest wpływom tego ostatniego kierunku. Panią Z. witano jako naturalistkę. *Prawda* milczała o niej, dopóki pani Z. nie nadesłała redakcyi swych *Akwarel*, czyli innemi słowy — dopóki sama nie prosiła o ich krytykę. Jakkolwiek ani redaktor *Prawdy*, ani recenzent *Akwarel* nie są osobiście zwolennikami naturalizmu, to jednak z kierunkiem tym *Prawda* zaznajamiała swych czytelników,

a szacunek, który redakcya żywi dla jego przedstawicieli, jako ludzi pracy wielkiej i olbrzymiego nieraz talentu, nie pozwolił właśnie uznać pani S. Z. za naturalistkę. Nie odczuwa ona rzeczywistości, nie kopiuje natury, nie umie jej analizować, natomiast żyje wyłącznie miłością—chorobliwą, patologiczną, histeryczną.

Skreśliwszy treść *Małaszki* i odtworzywszy na podstawie jej typ samej bohaterki, obrońca wykazał, iż jest to potwór umysłowy i moralny, ale nigdy nie *kobieta*, jaką w niej chce widzieć autorka, a przytoczywszy na poparcie swego zdania różne ustępy utworu pani Z., zawierające jej etykę, wyraził przekonanie, iż wobec tego wszystkiego w poglądach pana Popł. na panią S. Z. niepodobna dopatrzeć się dyfamacyi. Niedrukowane romanse pani S. Z. nic go nie obchodziły, a zaskarżony ustęp o „reminiscencyach przeżytych uczuć i wypadków“ nie stanowi, jako charakterystyka działalności autorskiej pani Zap., wdzierania się w jej życie prywatne. Poparłszy treścią nowelki *Łza* twierdzenie pana Popł., iż p. Z. w utworach swych występuje sama jako bohaterka, obrońca zaznaczył, iż jeśli kto, to jedynie ona sama zapomocą druku publikowała fakty, uwłaczające czci, godności i dobremu jej imieniu. Jako kobieta, pani Z. nie obchodziła i nie obchodzi krytyka. Płeć jej była dla niego obojętną. Rozkiełznana wyobraźnia nie może służyć za podstawę do zarzutu dyfamowania pani Z. zarówno jak „czerwona spódnica,“ poczerpnięta z utworu pani Śnieżko, nie zaś z fantazyi recenzenta.

Przeszedłszy następnie do zarzutu potwarzy, obrońca wyłożył znaczenie kradzieży literackiej, plagiatu i przeróbki, a poparłszy swe zapatrywanie faktami, poczerpniętemi z literatury, dowiódł w dochodzonym zarzucie niebytu czynu karygodnego. Zarzut taki bowiem wyraża tylko niesamodzielność autorki, ale nie jest zniewagą. Podobnie, chociaż ogólniej, za to w pewnym względzie ostrzej odezwały się o Akwarelach inne pisma: *Słowo*, *Wędrowiec*, *Ateneum*, nie mówiąc o *Gazecie nar.*, a jednak p. Z. skarży się tylko na *Prawdę*. Dlaczego? Dlatego, że inne pisma przyznały jej jakiś talent, a *Prawda* — nie. *Indae irae*. Gdybyśmy p. Zapolskiej przyznali geniusz Sandowej, pozwoliłaby bodaj nam głosić, że prowadzi jej życie. I tu miłość własna okazała się najdrażliwszą.

Następnie obrońca szeregiem dowodów z powiastki: „Gdybyś ożyła!“ gdzie pani Z. mówi o „małżonce *doryjczyków*,“ o *anakcie* zam. anaktorze, o *rytmie* Agory, o *Akropoli* zam. Akropolu, o Akteonie *kochanku* Dyany, dowodził, że są to widoczne ślady nieumiejętnego posługiwania się jakimś utworem francuskim i upartego nasycania romansem nawet takich stosunków, które — jak Akteona i Dyany — do miłosnych nie należą. P. Popł. napisał to, co mu podyktowało wewnętrzne przekonanie, nie znając życia p. Z. i nie ciekaw go poznać; redaktor zaś wydrukował jego krytykę, nie dostrzegłszy w niej nic uwłaczającego osobistemu honorowi autorki. Domaga się ona od sądu, ażeby ją pasował na talent, ażeby jej wydał świadectwo literackiej znakomitości. Takiego wyroku sąd nie wyda.

Popławski sprostował kilka twierdzeń Pileckiego, mianowicie że nie był w Galicyi i o utworach p. Z. nie pisał w prasie galicyjskiej, lecz mieszkał w Cesarstwie.

Świętochowski. P. Pilecki jest literatem, ale redaktorem nie był i obowiązków tego stanowiska nie zna. Każdy redaktor musi swym współpracownikom otwierać kredyt moralny. Gdyby mi korespondent paryski doniósł, że arcybiskup tamtejszy wysadził w powietrze kościół św. Magdaleny, zamieściłbym wiadomość mimo jej nieprawdopodobieństwa. *Akwarel* nie czytałem, bo dla takich utworów nie mam czasu. Ale pozwany do sądu, przeczytałem je i wyznaję, że gdybym ja o nich pisał, literacko oceniłbym daleko surowiej. Jest to bowiem nic, lichy fabrykat komunałów i gorączkowych mów. Przyjmując w sądzie pokoju odpowiedzialność za artykuł p. P., zrobiłem to dla honoru redaktorskiego, dziś ją przyjmuję jako literat. Szkoda mi czasu zmarnowanego dla tej książki. Obrońca nasz ma zupełną słuszność — p. Z. mści się nie za to, co przytoczyła w skardze, ale za to, czego nie przytoczyła, za odmówienie jej talentu. Bo co przedstawia dla udowodnienia swej krzywdy? Kilka wyrazów, które jej obrońca musiał uzasadniać rosyjskim przekładem i które musiano tu aż objaśniać, oglądać przez lupę i drążyć, ażeby z nich wydobyć ziarna potwarzy. Czy to było tak ciężkiem do zniesienia dla kobiety, kiedy najczulszy w swoim honorze mężczyzna popierzestałby na oświadczeniu, że autor nie chciał i nie myślał go znieważać? Zniewagi nie widział ani autor, ani redaktor, ani cenzor, któryby jej nie puścił — a jednak ma ona być tak wielką. Wspominam tu cenzora nie dlatego, ażebym się miał nim zasłaniać, gdyż sam odpowiadam za to, co drukuję, ale dla zaznaczenia, że nikt nie dostrzegł owej strasznej obelgi, którą nam pani Z. i jej obrońca przez powiększające szkła ukazują.

P. Z. gwałtuje o przeróbkę. Większość płodów literatury całego świata składa się z przeróbek. Tylko geniusze dobywają z siebie bryły złota, z których niższe od nich zdolności wybijają drobną monetę według różnych odcisków i rozdają ludzkości. Zresztą, choćby to nawet była przesada, może ona być przedmiotem literackiego sporu, ale nie państwowego sądu. Prawa ogólne i miejscowe ograniczają naszą swobodę. Są to warunki konieczne, które uznać musimy, ale pozostawionej nam resztki nie możemy oddać na łup procesom, wysnutym z jakiegoś wyrazu, użytego jako mocna barwa języka a wykrętnie przerobionego na potwarz. Wtedy bowiem nie mielibyśmy już czem oddychać. Nie dla siebie więc, ale dla dobra literatury naszej proszę sądu, ażeby nie stwarzał fałszywego prejudykatu dla marności literackich, ażeby zamknął swym wyrokiem drogę, po której żaden poważny pisarz polski nie pójdzie, ale z której korzystają zarażone złym przykładem lichoty, gotowe skarżyć nas nie za urojone winy, ale za surowe o nich zdania.

Sąd, odłożywszy posiedzenie do dnia następnego i nazajutrz zatwierdziwszy pytania, ogłosił następujący

WYROK

„Zważywszy, że w przytoczonych przez prywatną oskarżycielkę osobnych wyrażeniach recenzyi, poświęconej rozbiorowi *Akwarel*, nie ma cech ogłoszenia za pośrednictwem prasy jakichkolwiek określonych okoliczności hańbiących, mogących zaszkodzić dobremu imieniu p. Śnieżko-Zapolskiej;

że zarówno oddzielne zdania krytyki „Sztandar ze spódnicy,“ jak i cały artykuł Popławskiego, w swojej formie wykładu, ogólnym charakterze i znaczeniu wewnętrznem nie zawiera w sobie danych, wykazujących, że recenzent ogłosił jakikolwiek hańbiący fakt, mający związek z prywatnem i społecznem życiem pani Śnieżko-Zapolskiej;

że w obecnym wypadku cały inkryminowany artykuł zarówno co do istoty swojej, jakoteż formy zewnętrznej, chociaż napisany z pewną dosadnością i złośliwością, nie wykracza po za granice ogólnie przyjętych sposobów krytyki literackiej;

że wszczęte przez p. S. Z. dochodzenie karne o potwarz nie tylko okazuje się niedowiedzionem lecz i stanowczo nie posiada w swojej osnowie żadnych cech prawnych, niezbędnych dla istoty przestępstwa, przewidzianego w art. 1535 K. K., gdyż fakt literackiego zapożyczenia przez p. S. Z., jeśli nawet istnieje, a nadto w takiej formie, w jakiej go wskazał J. Popławski, nie stanowi działania, sprzeciwiającego się zasadom honoru;

że tym sposobem wobec braku w czynach Jana Popławskiego cech przestępstwa, przypisywanych mu przez prywatną oskarżycielkę, sama przez się upada odpowiedzialność redaktora *Prawdy*, Aleksandra Świętochowskiego,

a przeto, w moc wyżej wyłożonego i na zasadzie 1 p. 771 ar. Ust. postęp. karn. sąd uznaje J. Popławskiego i A. Świętochowskiego za niewinnych.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Świeżo przedstawiony w teatrze Rozmaitości dramat Feuillet'a *Romans paryski* należy do utworów, które trwalej nie mogą się zapisać na kartach dziejów sceny. Jak tyle innych nowych sztuk francuskich jest to robota obliczona tylko na efekt, pisana dla tego, aby dobrze sprzedać na scenicznym rynku treść zawartą w powieści, która zyskała sobie pewien rozgłos. Bliżej rozbierać tej sztuki nie warto. Dzisiaj przeżyła się, przynajmniej dla wykwintniejszej publiczności, stary melodramat, z efektami dekoracyjnymi, z ogniami bengalskimi, z akompaniamentem *tremolo* w orkiestrze przy scenach dramatycznych. Zamiast niego bardzo popularną stała się we Francyi sztuka sensacyjna z pozorami wyższego stylu, trzymana w tonie bardzo wytwornym. W *Romansie paryskim* nie brak efektów, z których D'Ennery, istny mistrz od melodramy, mógłby wykroić mnóstwo scen krzykliwych, targających nerwy. Jest tam i tajemnicze przywłaszczenie majątku, i wiarołomstwo żony porzucającej męża zrujnowanego, i szum na scenie podczas hulaszczej orgii z damami półświatka, jest wielka miłość z przeszkodami, jest jednem słowem mnóstwo efektów, dzięki którym damy uciekają się do batystowych chusteczek. Obok ustępów, na których znać rękę wybitnego talentu, obok postaci, rzuconych trafnie i śmiało, sztuka przepełnioną jest scenicznym komunałem, który w oświetleniu kinkietów, na optykę nie źle wygląda, tymbardziej, że artyści nasi wprawni w odtwarzanie sztuk francuskich, dobrze wyzyskują wszystkie efekty. Pani Rakiewiczowa i Marcello wzruszały słuchaczy pani Lüde na tło płaczliwe sztuki rzuciła jaskrawą sylwetkę damy z półświatka. P. Rapacki odtworzył plastycznie starego rozpustnika, a p. Prażmowski był bohaterem „romansu“ dystyngowanym i sentymentalnym, w stylu Feuillet'a, który słynie jako fabrykant męskich ideałów w dobrym tonie.

Odczyty. P. Janikowski, jeden z członków „pierwszaj wyprawy polskiej do Afryki,“ nie zbadawszy jezior Liba, opowiedział przynajmniej słuchaczom w Warszawie, co widział i czego doświadczył. Ponieważ prelegent, jak zresztą wszyscy jego towarzysze, pojechał na tę wyprawę bez naukowego przygotowania, więc też przywiózł i przedstawił wiązkę mniej lub więcej charakterystycznych, mniej lub więcej zabawnych szczegółów. Dlatego to najwięcej z nich czerpie materyału dziwnie teraz wesoły — Prus. Jego humor nie opuszcza Afryki. O zdobyczach, mających zapisać „imię nasze w księdze świata,“ naturalnie dziś nikt grzeczny nie wspomina.

Ciekawy proces. Pp. Henryk Perzyński, redaktor *Dziennika dla wszystkich* i p. P. Noskowski, wydawca tego pisma pociągnięci zostali do odpowiedzialności, że wbrew zakazowi cenzury, zamiast wykreślonego ustępu wstawili inny, podobnej treści, a mianowicie artykulik p. t.: *Reklama*: „W n. 108 *Dzien. dla wszystkich* reklama, w formie dziennikarskiego artykułu o prospekcie Chwili *wkradła się* do szpalt *Dziennika* bez wiedzy głównego redaktora. Nadużycia tego dopuścił się zajęty przy piśmie naszem p. St. Przyborowski, brat przyszłego wydawcy *Chwili*, wskutek czego został z redakcyi usunięty.“ Pomieszczenie tej wiadomości uznanem zostało jako wykroczenie przeciw przepisom cenzuralnym i sąd okręgowy skazał p. Perzyńskiego na 30 rubli kary.

Stała wystawa szkiców i wyrobów przemysłu artystycznego w Warszawie otrzymała zatwierdzenie władzy.

W Będzinie powstać ma gimnazyum. Fabrykant miejscowy p. Kramsta ofiarował odpowiedni dom na pomieszczenie szkoły.

Gospodarstwo rolne. W gub. radomskiej znajduje się 882 większych majątków ziemskich, z nich tylko w 477 prowadzi się gospodarstwo płodozmienne.

Wydział lekarski zostanie wkrótce otwarty przy uniwersytecie odeskim.

Konkurs. Wydział krajowy galicyjski ogłasza konkurs literacki z zapisu F. Kochmana. Dwie nagrody 1,000 i 500 złr. przyznane będą dwóm dziełom, uznanym za najlepsze, napisanym po polsku bez różnicy treści z wyjątkiem tylko religijnych. Do konkursu stawać mogą prace rękopiśmienne lub drukowane, te ostatnie wydane po 1878 r. Termin konkursu upływa 31 marca 1888 r. Komisye sądzącą składają członek Wyd. krajowego Oktaw Pietruski, dr. Samolewicz

dr. G. Roszkowski, dr. A. Biesiadecki, dr. L. Kubala, dr. A. Małecki i p. Zygmunt Sawczyński.

Bibliografia. Tymoteusz Łuniewski. *Starożytne żarna w Polsce.* Warszawa (Odbitka z pamiętnika fizyograficznego).

Doktoryzacya. Lekarz S. S. Zaleski, docent instytutu weterynaryjnego w Dorpacie, po obronie rozprawy p. t. *Żelazo w wątrobie* otrzymał od uniwersytetu warszawskiego stopień medycyny.

Kolonie żydowskie. W gub. kijowskiej znajdują się 23 wsie zaludnione przez żydów rolników. Na 3,050 głów ludności wypada zaledwie 2,719 dziesięcin ziemi, takie szczupłe uposażenie zmusza kolonistów do szukania innych zajęć.

Pomniki. Rada miejska w Lipsku odrzuciła żądanie funduszu 4,000 marek na odnowienie pomnika księcia Józefa Poniatowskiego. Miejscowy *Tagblatt* nazywa to postanowienie „godnym pochwały czynem rozumnego patryotyzmu niemieckiego."

Portret współczesny Władysława Jagiełły odkrył ks. A. Knothe w kościele katedralnym w Sandomierzu. Obraz malowany jest na lipowej desce pokrytej warstwą gipsu i uległ nieznacznemu tylko uszkodzeniu.

Statystyka szynków. Jeden szynk w guberniach wielkorosyjskich przypada na 158 mieszkańców, nadbałtyckich na 338, w Królestwie na 471 i w gub. zachodnich na 589.

Zmarli. Forster, niegdyś minister do spraw irlandzkich w gabinecie Gladstone'a, później uparty przeciwnik polityki tego męża stanu, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli partyi liberalnej.

— Kazimierz Stadnicki, pracowity badacz dziejów Litwy i Rusi, autor wielu dzieł cennych, jak np. *Synowie Gedymina, Bracia Jagiełły* itd.

— Nestor Koszutski, niegdyś jeden z głośniejszych posłów poznańskich, autor kilku rozpraw z dziedziny ekonomii.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumerat. z Łęczyckiego Niezupełnie możemy Pana zadowolnić, gdyż postawione pytania są nieścisłe i bardzo powikłane. 1) Części świata są podziałem dowolnym, sztucznym, a odkrycia przy biegunie południowym nie były dokonane przez jednego człowieka. 2) Według traktatów książe Monaco jest wasalem Francyi, która przejęła (1860) prawa sardyńskie i która tam zachowała swoją administracyę, sądownictwo itd. 3) Szląsk należał po raz ostatni 1645 częściowo i chwilowo; na mocy traktatu huberburtskiego 1763 powstał austryacki. 4) Pomorze całe — nigdy, województwo pomorskie do 1772. 5) Poznańskie ostatecznie odłączone traktatem wiedeńskim. 6) Görlitz (Zgorzelec) należał.

P. J. T. w Szam. Podać się a po zagłosowaniu opłacić wpisowe i składkę.

A. K. U nas nie można ani zawrzeć takiego ślubu, ani wziętego gdzieindziej uprawnić.

P. Stef. Zar. Ponieważ Pan mieszka w Warszawie— najlepiej poradzi Szkoła Handlowa.

M. Sam Heine wiele swych utworów wydawał naprzód po francusku. Na język polski przełożone są głównie rymy przez Kraushara — M. Maleszkiewicza, Gomulickiego itd. Dobrego studyum nad tym poetą nie ma. Życiorys — Strodtmana, najświeższy — R. Proelssa (po niemiecku).

Dr Sł. — Kr. Uk. Artykulik Pański, jako wyłącznie prywatny, mógłby być wydrukowany tylko śród płatnych ogłoszeń, naturalnie o ile uzyskałby pozwolenie policyi.

Maczudze. Pismo nasze nie mogłoby korzystać z pańskiego talentu nawet „sine kopiejkas."

Uczniowi szk. k. Procent księgarski — 10.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Апрѣля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.